№ 24. Warszawa, dnia 4 (16) Czerwca 1883 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kopiejek 80, miesięcznie kopiejek 60. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. - Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Od Redakcyi.

W przyszłym kwartale **Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami. Prenumerata, którą najlepiej uskutecznić za pośrednictwem samej Redakcyi, wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50

Półrocznie . . . rs. 5

Rocznie. . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI.

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie. . . . rs. 1 k. 25

Półrocznie . . . . rs. 2 k. 50

Rocznie . . . . . rs. 5

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr. 3.

ABD-EL-KADER.

Przez

Sewerynę Duchińską.

Pod wschodniem niebem, w starożytnym Damaszku, umarł rycerski mąż, którego imię otoczone blaskiem sławy i poezyi, przejdzie do późnych wieków, i zaświeci obok imion Almanzora i Boabdila. Z tym ostatnim Abd-El-Kader, szczególne przedstawia podobieństwo. Jak ostatni sułtan Grenady, wyparty orężem Ferdynanda i Izabelli, zmuszony uciekać za morze do Maroko, zalewał się łzami, gdy płynąc na ziemię wygnania, ścigał myślą rozkoszną Alhambrę; tak samo, ostatni zapaśnik Algieru, płynąc po tychże falach na ziemię wygnania do Francyi, patrzył z boleścią na brzegi Afrykańskie i szczyty Atlasu znikające mu przed oczyma. Jeden i drugi poddał kornie głowę pod wyrok Ałłaha z przekonaniem, że smutne ich losy od wieków zapisane zostały w niebie i żadna ludzka siła nie mogła ich odwrócić.

Ta głęboka wiara religijna sprawiła, że Ab El-Kader, który przez lat szesnaście, bronił tak zawzięcie niepodległości Algieru, złamany wreszcie przemocą, nie zachował w sercu nienawiści dla Francuzów, widząc w ich tryumfach wyraźną wolę przeznaczenia. Francuzi ze swej strony, uczcili niezłomny charakter Emira, który zaprzysiągłszy im wiarę, dochował jej do końca, a na wet stał się szlachetnym rozjemcą w ich krwawych zatargach z góralskiemi ludami Libanu.

W ostatnich dniach roku 1847, Abd El-Kader złożył oręż w ręce Jenerała Lamoriciera. Książę Aumale, przyrzekł mu opiekę Francyi. Przewieziono go do Tulonu, zkąd miał niebawem odpłynąć do Aleksandryi. Nim to nastąpiło, zaszła rewolucya 1848 roku. Rząd republikański, nie czuł się zobowiązanym dopełnić przyrzeczeń danych w imię wygnanego Ludwika Filipa. Emir zamknięty naprzód w zamku Pau, następnie w Amboise, odzyskał dopiero wolność za prezydencyi Ludwika Napoleona. Prezydent sam pospieszył do Amboise, sam wręczył wyrok, znakomitemu jeńcowi.

— Byłeś — rzekł — nieprzyjacielem Francyi, oddają przecież słuszność twojej odwadze, twej rezygnacyi w nieszczęściu. Dlatego mam sobie za prawdziwy zaszczyt, powrócić ci Emirze wolność osobistą, pokładając zupełną ufność w twojem słowie.

Abd-El-Kader, pospieszył niezwłocznie do Brussy, zkąd po trzyletniem pobycie, udał się do Damaszku i stale tam zamieszkał. Później rząd cesarski przeznaczył mu 100,000 franków rocznego dochodu.

W roku 1867, Emir przybył do Paryża na powszechną wystawę. Kilkakrotnie wtedy spotkaliśmy go na polu marsowem, w galeryach zaimprowizowanego pałacu. Postać jego głęboko wyryła się w pamięci naszej, miał wtedy lat sześćdziesiąt, ale na gładkiem czole, nie było śladu zmarszczki. Cera biała jak marmur karraryjski, nie różniła się barwą od białego burnusa, z lekkiej tkaniny algierskiej. Z pod haika przytwierdzonego do głowy sznurem wełnianym, żarzyły się piękne szafirowe oczy, ocienione długiemi rzęsami, czarna jak heban broda, spadała mu na piersi. Nie wysoki lecz krzepki, poważną miał postawę, chód lekki właściwy Arabom. Na pięknych rysach oblicza, odbijał głęboki smutek, gdy mijając płody algierskie, ścigał je pilnie wzrokiem. Zrozumieliśmy tę milczącą a tak przecież wymowną boleść.

W parę miesięcy po skończonej wystawie wyjechaliśmy na zimę do Pau, w towarzystwie kilku osób z naszej rodziny. Wielokrotnie zwiedzali-

śmy tam piękny zamek, do którego ścian przyrosła pamięć Małgorzaty z Walezyuszów, księżny Bearnu, babki wielkiego króla. Jedno z bocznych skrzydeł tego gmachu, było przez rok więzieniem Abd-El-Kadera. Z głębokiem przejęciem, z okien jego sypialni, poglądaliśmy na szczyty Pirejenów, rysujące się we mgle sinej. Z jakąż żałością smutny jeniec musiał ścigać okiem te góry, za którémi, chorągiew proroka powiewała tryumfalnie, z górą przez siedm wieków.

W Pau zabraliśmy miłą znajomość z kilku bearneńskiemi rodzinami. Do nich należał zacny i światły profesor tamtejszego liceum.

Nieraz w długie zimowe wieczory, opowiadał nàm różne ciekawe zdarzenia i przyrosłe do miejsca tradycye. Spisywaliśmy je starannie, mając zamiar zebrać je w całość i połączyć z opisem Hiszpanii, dokąd mieliśmy zamiar udać się z wiosną. Ale zamiar nasz w części tylko mógł być urzeczywistnionym.

Zwiedziliśmy Burgos i Saragosę, dalej dotrzéć nie pozwalały nam ówczesne polityczne przewroty. Krew lała się na ulicach Madrytu: gdyśmy przez wąwozy Pirenejów, spiesznie wracali do spokojnej wówczas Francyi, notatki nasze pozostały zagrzebane w tece, wydobywamy dziś z nich jeden ustęp dotyczący Abd-El-Kadera.

W dniu kiedy zwiedziliśmy poraz pierwszy jego całoroczną siedzibę, przybył do nas wieczorem profesor. Po herbacie zaczęła się zwykła gawędka, przedmiotem jej w tym dniu stał się wyłącznie Emir.

— Ostatni to i najsłynniejszy z tutejszych jeńców — mówił profesor — przybył on do Pau w kwietniu r. 1848, z rodziną i licznym orszakiem, było razem wszystkich ośmdziesiąt i siedm osób. Emir miał z sobą matkę, sześć żon, siedmioro dzieci, trzech braci i starego stryja: dwór składali sekretarze i domownicy różnych stopni. Rząd przeznaczył mu do straży honorowej dwóch oficerów, jeden z nich, człowiek wielkiej zacności Boissonel był moim kolegą szkolnym; umiał on zjednać sobie przyjaźń i ufność jeńca. Od niego to miałem sposobność, dowiedzieć się ciekawych szczegółów, z domowego życia dostojnej rodziny arabskiej.

— Opowiedz nam te szczegóły szanowny profesorze — zawołałam — ciekawa ich jestem podwójnie, raz że nie znam obyczajów arabskich, a potem, że widziałam niedawno Abd-El-Kadera i głęboko utwił mi w pamięci. Szlachetny obrońca Chrześcian w Syryi, prawdziwie mnie zajmuje.

— Więcej jeszcze zajmie panią — odrzekł profesor — jak się dowiesz, że Emir jest poetą i to niepospolitym. Zgadując o ile ta nowa strona, podniesie w oczach pań, bohaterskiego jeńca naszego, postarałem się o jego wiersze, nakreślone w albumie pani Lagreze i o wyjątki z listów do przyjaciół, których tu sobie zjednał.

— Dzięki, stokrotne dzięki — zawołaliśmy razem.

— Nie będę powtarzał paniom — ciągnął profesor — życiorysu Abd El-Kadera, nie miejsce tu ani pora na to, powiem tylko w dwóch słowach, że był synem Marabuta, słynnego ze świętości u plemion koczujących po zachodniej stronie Algieru. W młodych latach, odbył pobożną pielgrzymkę do Mekki, tam Arabowie oceniając geniusz młodziana, mianowali go Emirem, później otrzymał godność Sułtana, podjął oręż w r. 1832 i odtąd bitne szeregi nasze, w niejednem starciu poznały potężne jego ramię. Wiadomo wam jak uległ przed siłą, jak był przewieziony do Francyi. Za rzeczypospolitej Lamartine, który wysoko cenił Emira, wyjednał mu przesiedlenie do Pau, gdzie pogodne niebo i bogata a wczesna roślinność, mogły mu przypominać strony rodzinne.

— Biedny wygnaniec — rzekłam — ileż on tu wycierpiał.

— Tak, wiele, bardzo wiele—odparł profesor— tem więcej, że cierpiał bez nadziei... wiedział że stopa jego nie dotknie już ziemi ojczystej. Umiał jednak cierpiéć z powagą i rezygnacyą. Głębokie poszanowanie, dla starej matki Ihory, tkliwa miłość dla żony Kheirah, przypominały obyczaje dawnych patryarchów. Z sześciu żon, Kheirah, którą zwał ukochaną serca swego, przechodziła inne wysokim rodem, wychowaniem, intelligencyą i szlachetnością uczuć. Ona jedna umiała czytać. Pierwsze też miejsce po matce zajmowała u stołu, inne żony zasiadały skromnie opodal. Ilekroć niewolnica wchodziła do jej pokoju, przystępowado niej, całowała ją w głowę i w rękę na znak poszanowania. Mimo takich przywilejów, wszystkie żony Emira żyły z nią w najlepszej zgodzie.

— Szczególna rzecz, że nie zazdrościły ulubionej sułtance — zagadnęłam.

— Trudno wam, wychowankom innych pojęć— rzekł mój towarzysz, który lat ośm przebywał w Konstantynopolu — trudno wam pojąć usposobienie kobiet wschodnich. Wielożeństwo nie jest tu złamaniem wiary, lecz uświęcone prawem, nie budzi więc zazdrości.

— I jakże wyglądały te kobiety? — zagadnęła najmłodsza z grona.

— Wszystkie małe i drobne, powieki i brwi mocno miały przyczernione, ramiona i czoło nakłóte, powleczone błękitną farbą, paznokcie pociągnięte cynobrem, rączki i stopki maleńkie. Jeśli jedna z nich zachorowała, wszystkie okładały ją amuletami w formie szkaplerzyków, które nosiły zawsze na szyi. W tych amuletach mieściły się wersety z Koranu, lub modlitwy skreślone ręką pobożnego Marabuta. Nie zawsze to jednak pomagało, dowodem tego, że Emir za pobytu w Pau utracił troje drobnych dziatek: pochowano je na cmentarzu tutejszym.

— Widziałam wczora ich nagrobki, umieszczone koło siebie, ozdobione półksiężycem, z napisem po arabsku.

— Te same — odrzekł profesor. — Boissonet zapraszany niekiedy przez Emira na obiad, wyliczał mi dziwne ich przysmaki. Jadają zwykle mięso gotowane z ryżem, zaprawne bez miary pieprzem, imbirem i innemi korzeniami. Do najulubieńszych potraw, należy sławne kuskusu, czyli ciasto z ryżannej mąki, z cukrem i rodzynkami. Post Ramadam zachowywał Emir z niesłychaną ścisłością. Potrzeba mu było przypominać, iż Bóg nie wymaga by człowiek zabijał się dobrowolnie.

— Nie lękajcie się! — mówił — im słabsze ciało, tem duch w niem potężniejszy

— Czy go pan nie poznał bliżej? — zapytałam.

— Nie chciałem być natrętnym — odrzekł profesor — lubo w pierwszych czasach pobytu swego, przyjmował chętnie wszystkich, przeznaczył nawet stałe dnie na publiczne posłuchania. Wkrótce jednak uprzykrzył to sobie i zamknął się w domu, nie chcąc być celem daremnej ciekawości. Z daleka widziałem go kilkakrotnie, postać jego przyjemna i znacząca, z ciemnych oczu sypały się iskry. Ubrany zawsze z prostotą, chyba tem różnił się od innych Beduinów, że burnus jego był biały jak śnieg. Spokojny smutek odbijał na jego wyrazistem obliczu. Nieraz Boissonet namawiał go na konną przejażdżkę po pięknej okolicy. Próżne były wszelkie nalegania.

— Arab w żałobie — mówił on — nie wychodzi nigdy z pod namiotu swego, a ja noszę ciężką, bardzo ciężką żałobę.

— I czemże się głównie zajmował? — zagadnęłam.

— Jedyną rozrywkę jego, stanowiła nauka poezyi i pobożne rozmyślania. Znajomi przynieśli mu Biblią i Ewangelie w arabskim języku. Czytał je ciekawie i porównywał z Koranem. Ilekroć mówił o zasadach chrześciańskiej wiary, wyrażał się ze czcią głęboką.

Zdarzyło się, że matka jego Ihora zachorowała ciężko, równie jak ukochana żona Kheirah. Siostry miłosierdzia pielęgnowały je troskliwie, za co Abd-El-Kader szczerze im był obowiązany. Odwiedzała je także jedna z tutejszych pań, hrabina B. i wkrótce pozyskała sobie przyjaźń tak Emira jak i całej jego rodziny. Razu jednego, rozmawiając z nim wspomniała o piękności zamku.

— O pani! — zawołał — jestem jeńcem! Gdybyś mnie zasypała kwiatami, woń ich nie doszłaby do mnie!

Inna z pań zapytała dlaczego ma tyle żon?

— Gdybym znał Francuzki — odparł z uśmiechem — byłbym tylko poślubił jedną.

Dowody życzliwości jakich tu doznał, przywiązały go do Pau, to też, gdy mu przeznaczono miejsce pobytu w Amboise, z żalem opuszczał nasze miasto.

— Nigdy — mówił — dopoki żyć będę nie zapomnę zacnych Bearnów.

W przeddzień wyjazdu, zwiedził po raz pierwszy królewskie pokoje w których przemieszkał rok cały. Złożył potem jednemu ze znajomych małą kwotkę pieniędzy.

— Ubogi jestem — rzekł — ale są w mieście waszem jeszcze ubożsi ode mnie. Proś pan czcigodnego proboszcza od Ś-go Marcina, niech rozporządzi tem w mojem imieniu.

— Piękna postać! — zawołaliśmy razem, podczas kiedy profesor dobywał z Pugilaresu parę kartek drobno zapisanych.

— Oto — rzekł — dosłowny przekład wierszy Abd-El-Kadera, z albumu pani Lagreze:

„Chwała Bogu jedynemu!

„W dniu kiedy mnie opuścili, zostawiłem im drogi naszyjnik z pereł... temi perłami łzy moje!

„Wielbłądy ruszyły, a ja nie znalazłem w sobie ani serca, ani siły, ani rezygnacyi.

„Poleciłem ich Bogu i wpadłem w ciężki smutek... dom mój zamienił się w pustynię...

„Wróciłem, lecz nie poznałem drogi mojej, nie pytaj mnie dlaczego... Niech Bóg pogrąży srogich twych nieprzyjaciół, w boleści jaka mnie gnębi.

„Miła czytelniczko! nakłoń ucho na rzewne słowa moje. Osoba jak ty nie będzie głuchą na ich dźwięki.

„Jakto? chciałżebym opiewać miłość, jak drugi El Asmai? O duszo moja! opuściłaś żywot w dniu, kiedy mnie oni opuścili!

„Pokłon od tego, który pisał te słowa.

„Abd-El-Kader-ben-Mahi-ad-Dine.

„4 Droul Hidja 1264, (listopad 1848 roku)”

— Jakież to oryginalne! — rzekłam.

— Równie oryginalne jego listy do hrabiny

B. — odparł profesor — oto wyjątki z niektórych.

„Chwała Bogu!

„Serce moje strapione, odkąd nie widzą cię oczy moje.

„Łzy płynąć mi z powiek nie przestają... Możeszli być inaczej? Żal mi nieobecnych przyjaciół.

„Sny moje nie ugaszą ognia, który pożera serce, a ten ogień osuszyć nie może łez moich.

„Nie dam się pokonać zgryzocie, lecz nieznośną mi nieobecność ukochanych.

„Brak mi cierpliwości odkąd daleki jestem od przyjaciół, siły mnie opuszczają!

„Posyłam ci pani te wiersze, dodaje w końcu, słabym one są wyrazem uczuć moich. Pragnąłbym posłać ci zarazem język, który wyrzekł te słowa i rękę, która je napisała i tym sposobem wywiązać się z długu przyjaźni.

„18 maja 1849 r."

— Kto wie — rzekłam — czy Emir, do sześciu żon arabskich, nie pragnął dołączyć siódmej francuzkiej w osobie hrabiny B.?

— Broń Boże! — przerwał profesor — ta osoba w wieku, pełna powagi, szanowana powszechnie. Abd-El-Kader wdzięczny jej był za opiekę nad chorą matką, żoną i dziećmi, wdzięczność swoją wyraził w ten sposób. W innym znów liście do kilku słów prostych, winszując jej nowego roku, dodaje ten czterowiersz.

Płaczę za tymi których ukochałem,
Ufny w ich przyjaźń usypiam w zachwycie,
Gdy się obudzę, patrzę... sam zostałem,
I żal brzemieniem przygnębia mi życie!

Kiedy przyjaciółkę jego dotknęła ciężka strata, dowiedziawszy się o tem, napisał tkliwy list polecając ją Bogu. W końcu kreśli te słowa:

Niezbłagane wyroki śmierci nad stworzeniem,
Wszystko znika na ziemi, wstrzymać... brak sposobu,
Czem życie? Ah! snem marnym, a śmierć rozbudzeniem,
Jak cień mknący po ziemi z kołyski do grobu.

Profesor dobył nowy zwitek. Oto—rzekł—list pisany z Syryi po smutnych wypadkach, kiedy Abd-El-Kader dzielnem ramieniem, powstrzymał rzeź u stóp Libanu i ocalił tysiące Chrześcian.

„Pochwały jakie nam pani dajesz, za to cośmy uczynili w Damaszku, zawstydzają nas prawdziwie. Gdyby nam przyszło oddać życie, za dobroczyńcę naszego cesarza Napoleona i za Francyą, jeszczebyśmy nie spłacili długu wdzięczności naszej. Nie wątpimy pani o tkliwej przyjaźni twojej, równą ona tej jaką mamy dla ciebie i dla Francyi. Na roli serc naszych nie marnieje ziarno dobrodziejstw, ale wydaje cenny owoc wdzięczności. Niech Bóg prowadzi kroki twoje."

Wkrótce potem, gdy nasz Missyonarz ojciec la Vigie, powracał z Damaszku do Francyi, szlachetny Abd-El-Kader, złożył w ręce jego skrzyneczkę z kości słoniowej, misternie wyrzeźbioną, prosząc o wręczenie jej z listem przyjaciółce. Oto list zarówno ciekawy:

„Chwała Bogu!

„Drogocenny klejnocie, czcigodna i szanowna hrabino! Że pragniesz mieć od nas wiadomość, Bogu za to dzięki i chwała. Jestem zdrów, martwi mnie tylko oddalenie od ciebie pani, która wspierałaś mnie i pocieszałaś w niedoli mojej. Otrzymasz z rąk księdza la Vigie, skrzyneczkę z przesławnej Jerozolimy. Jest w niej złocisty welon, który zachowaj przez pamięć dla mnie. Gdybyś czego potrzebowała z Damaszku napisz do mnie a będę ci wdzięcznym.

„Odebrałem twój list, wyrażenia jego piękniejsze nad rubiny i złoto. Sprawił mi wielką radość. Pisząc do drogich osób, czujemy połowę pociechy, jakiej doznajemy przy widzeniu!"

Rok upłynął od pobytu naszego w Pau i opowieści zacnego profesora, kiedy Abd-El-Kader, w nowem świetle ukazał się przed nami. Nadszedł smutnej pamięci rok 1870, klęski sypnęły się gradem na Francyą. Skoro wieść o nich dobiegła do Damaszku, siedmdziesięcioletni blizko Emir, głęboką uczuł boleść. Pochwycił za pióro, napisał gorący list do cesarza Napoleona, ofiarował mu pomoc dzielnego ramienia swego, w zapłatę za otrzymaną niegdyś wolność.

Gdy list doszedł z Damaszku do Europy, nie zastał już Napoleona we Francyi, cesarz doświadczył losu Abd-El-Kadera.. był jeńcem w Wilhelmshohe.

Uczucie wdzięczności, stanowi jednę z cnót plemiennych tak Turków jak i Arabów. Mieliśmy na to dowód w Wiedniu w roku 1870. Było to 15 sierpnia, w dniu imienin cesarza Napoleona, na parę tygodni przed klęską Sedanu. W kościele św. Anny, w parafii Ambasady francuzkiej, odbywało się uroczyste nabożeństwo. Innych lat w tym dniu całe ciało dyplomatyczne brało w niem czynny udział. Z wielkiem podziwem i zgorszeniem naszem, wszedłszy do kościoła ujrzeliśmy w nim puste ławki, przeznaczone dla ambasadorów i ich otoczenia.

Kilku zaledwie dostojników austryackich, ukazywało się chwilowo. Co dziwniejsza nikt nie przybył z włoskiej ambasady! snać pamięć tryumfów Neagenty i Solferyna, zatarły się bez śladu.

W jednej tylko ławie nie było opróżnionego miejsca, świeciły w niej fezy tureckie.

Żałuję szczerze, iż nie znany mi ów list Abd-El-Kadera do cesarza Napoleona. Nigdzie on nie był ogłoszony.

Francuzi szczerą wzajemnością wypłacili się szlachetnemu Emirowi. Na wieść o jego skonie, pisma i przeglądy, różnych barw i odcieni, zgodziły się na jedno, wysławiając wielkie jego zalety osobiste i niezłomną moc charakteru.

Z piosnek wiosennych.

Zrywaj kwiatki dzieweczko, póki czas,
Póki masz ich przed sobą miliony;
Biegnij w ogród, na łąkę, biegnij w las,
Biegnij w parów strumieniem zroszony...

Zrywaj kwiatki dzieweczko, lecz się strzeż,
Żeby cię nie zraniła pokrzywa;
Zrywaj kwiatki dzieweczko, lecz się spiesz,
Bo je może kto inny pozrywa...

Zanim ręką dosięgniesz wonnych bzów,
Może pszczółka z nich słodycz wypije,
Zanim główkę odwócić zdążysz znów
Gad oddechem swem splami lilię...

Zanim róża dotknie się twej dłoni,
Może w skwarze słonecznym zwiędnie wprzód,
Do cienistej nim trafisz ustroni,
Może białą konwalię zmrozi chłód...

Więc gdy ogród przebiegasz wzdłuż i wszerz,
Kiedy wiosna twe wzbudza podziwy,
Zrywaj kwiatki dzieweczko, lecz się spiesz,
By cię zawód nie spotkał dotkliwy.

Nie ustawaj na chwilę w tej pracy,
Gdy cię do niej przyzywa wonny gaj,
Czy wiesz o tem, że w świecie są tacy,
Którym kwiatów poskąpił życia maj?

Którzy smętnie w dal mglistą wpatrzeni,
Napróżno w niej szukają śladu gwiazd;
Którzy z wiosną na ziemskiej przestrzeni,
Spotykają jedynie cierń i chwast?...

O tych smutnych wspomnij więc z przelocie
Rwąc konwalię, stokrotkę, różę, bez,
Tych pożałuj co żyją w tęsknocie,
I poświęć im rój westchnień, kilka łez...

A zaś sama, mijając te strony,
Gdzie się gnieździ cierń, oset, albo płaz,
Zrywaj kwiatki, dzieweczko, póki czas,
Póki masz ich przed sobą miliony...

Emilia.

BŁĘDNE DROGI.

Rzecz opowiedziana

przez

J. K. GREGOROWICZA.

(Dalszy ciąg.)

Pani, która zwróciła uwagę na Józia, była osobą młodą, wytwornie ubraną i bardzo urodziwą.

— Kawalerze — odezwała się do Grzesia — jak się nazywa tamten drugi kawaler, co pobiegł ku kopcowi?

— Długosz proszę pani, Józef Długosz, a my go między sobą Długosikiem nazywamy.

— A ojciec jego gdzie mieszka?

— Ej! nie wiem, gdzieś tam daleko, w Anglii czy gdzieś

— A matka?

— Matka podobno dawno umarła.

— A któż się nim opiekuje?

— Ma dziadka proszę pani, co jest dozorcą przy rogatkach.

Rozmowa nagle urwała się: ozwała się muzyka, huknął bęben i Grześ pobiegł ku estradzie.

— Mają grać kolej żelazną — zawołano i pewna część publiczności zaczęła tłoczyć się do mu-

zyki, druga wyłazić na ławki i stoły a wyrostki, przyszli artyści, wspinać na drzewa.

Kolej żelazna była wówczas nowością nieznaną Warszawie. Wiedziano, że wozy toczą się po niej bez żadnej widomej siły, że pędzą szybko jak błyskawica, że maszyna co ciągnie piszczy jak dyabeł na uwięzi, a wozy za nią trajkoczą, jak dusze potępione. Chustki od nosa z wizerunkami całych pociągów kolei zaczęły wchodzić w modę, widziano na nich pełne wagony podróżników, dym buchający z komina woza parowego, stojącego na nim maszynistę z pomocnikiem i przyglądano się im z największem zajęciem zazdroszcząc zagranicy posiadania takiej nadzwyczajności.

Wszystko to miała zobrazować muzyka, publiczność była niezmiernie zaciekawiona, pchała się, tłoczyła, wydobywała głowy, aby górować nad drugiemi, z czego taki powstał zamęt, jak przy pożarze nagle buchającym płomieniem. Jedni się gniewali, łajali, drudzy krzyczeli potrącani przez tłoczących się, przewracano stołki, ławki i stoły, brzęczały tłukące się kufelki i talerze, a gawiedź należycie usadowiona wrzeszczała klaszcząc w ręce z uniesieniem.

Nie wszyscy jednak taką odwagą byli ożywieni oczekując odezwania się orkiestry. W towarzystwie, z którego owa młoda pani zaczepiła Grzesia, starsza jej towarzyszka bardzo była zaniepokojoną. Jeden z widzów wspinając się tuż przy niej na drzewo, łupnął ją dobrze w czoło obcasem, drugi tłocząc się zdarł chustkę z ramion a trzeci spadł na sąsiedzki stolik i rozpłoszył wszystkich przy nim siedzących. Zmądrzała też doświadczeniem, za najmniejszem koło siebie poruszeniem, krzyczała ah! i rękami sięgała do kapelusza z obawą o jego całość.

— Czego pani krzyczysz — odezwał się mężczyzna przy niej siedzący wyrzucający z ust kłęby dymu cygara. — Przecież nikt z pani skóry nie ździera.

— A może i zedrą — odrzekła — bo jeżeli teraz ledwo nas nie poduszą i nieporozbijają, to jak zaczną jechać po kolei żelaznej, z pewnością roznioså w kawałki.

— Ej! przecież to tylko muzyka.

— Piękna mi muzyka, co mi od obcasa ćmi jeszcze w oczach a do chustki ledwom się dorwała.

— To mała rzecz, żeby u nas wybudowali kolej żelazną, tobym zaraz pojechał do Częstochowy.

— Do Częstochowy! — zawołała kobieta co z obcasem tak się boleśnie zaprzyjaźniła — do takiego świętego miejsca wozem co go dyabeł ciągnie? A mój panie wolałabym umrzéć jak oddać duszę na wieczne potępienie.

Wtem w orkiestrze ozwał się dzwonek naśladując sygnał ruszenia pociągu i głuchy łoskot bębna niby dym buchający z komina.

— Ah! wrzasnęło kilkanaście kobiet, na co odpowiedziano ogólnym śmiechem i hukiem głosów naśladujących wystrzały z ręcznej broni. Tu i owdzie wzniesiono oklaski.

Orkiestra sygnał znowu powtórzyła, ozwał się przeraźliwy gwizd parochodu, w bęben uderzono rózgami najprzód wolno, potem z coraz większem przyspieszaniem a w końcu dźwięki galopady połączyły się z taktownem tarabanieniem bębna.

Pociąg ruszył w drogę, gwizd powtarzał się ciągle, publiczność zaryczała jakby nieprzeliczone stado wilków, bojaźliwsze kobiety zasłoniły uszy rękami a niektóre schowały głowy pod stoliki.

Wrzaskom, klaskaniom, okrzykom i wyciu końca nie było, stojący na stołach przytupywali w takt huku bębna, pewni że jadą pociągiem kolei, a gdy muzyka przechodząc w coraz cichsze pianisymo, werblując nagle umilkła z silnym łoskotem wystrzału z mozdzierza, wrzask ze wszystkich wydobył się piersi, wszystkie ręce podniosły się do oklasków i zażądano na gwałt powtórzenia.

Najbardziej krzykliwemi byli chłopcy przygotowani do zdobycia fortecy.

Gdy orkiestra zmuszona coś cztery razy powtórzyć muzyczny utwór na cześć kolei żelaznej, złożyła wreszcie instrumenta i zaczęła się rozchodzić, na znak, że już więcej powolną nie będzie, Grześ z Józiem porzucił zdobyte stanowisko i rozmawiając o odebranem wrażeniu, nagle usłyszeli za sobą wołanie:

— Długoszu, panie Józefie Dlugoszu, chodźno tu do mnie.

Józio obejrzał się. Była to ta sama pani co już poprzednio z Grzesiem rozmawiała.

— Moje dziecko, więc nazywasz się Długoszem? — zapytała.

— A tak proszę pani — odrzekł chłopczyna.

— A gdzie mieszkasz?

— Na Starem mieście u szewca Skowrońskiego.

— Dziękuję ci moje dziecko, będę adres pamiętała.

— Czy pani chce jaki zrobić obstalunek? — zapytał Grześ.

— A tak... obstalunek... sama przyjdę do was.

— To dobrze, powiem majstrowi — odrzekł Grześ — bo ja już na czeladnika patrzę, Długosik dopiero się przy mnie przyucza, a ja mu zawsze powiadam, że od takich pań jak pani to przy każdem spotkaniu dychacz pewny.

I Grześ uśmiechnął się figlarnie i pani także nazywając chłopca filutem, ale wydobyła woreczek i dała im dziesiątkę na obwarzanki.

Na dalszą rozmowę już nie było czasu. Na wierzchu kopca błysnął zapalony kaganiec, Grześ ruszył z kopyta, za nim pobiegł Józio i wrzeszcząc: dalej do szturmu! bracia za mną! zaczęli z okrzykami całą zgrają wdzierać się na kopiec. Obrońcy nie myśleli się bronić, zapalali lampki przygotowane do illuminacyi, huknęły tu i owdzie petardy, a chłopcy z okrzykami zwycięztwa, nie mając z kim walczyć, w figlach napadali na siebie, spychali się, potrącali, przewracali, z czego wśród blasku kagańców, połysku lampek i huku wystrzałów, dość malowniczy przedstawiał się obraz z wielkiem zajęciem przyjmowany przez zgromadzoną publiczność. Nie obeszło się przytem bez kłótni i swaru: jeden z chłopców krzyczał za czapką zrzuconą mu z głowy, drugi kulał dobrze zdeptany, inny koziołkował, tam znów dwóch trzymało się za bary a dwóch drugich za czupryny. Grześ przebiegał wywijając kijem, Józio komenderował jak opętany, a między publicznością taki zrobił się ścisk, iż zaczęto krzyczéć z największem przerażeniem, iż się poduszą.

Wreszcie muzyka uderzyła w trąby, ustawiona szykownie ruszyła marsza ku kopcowi, za nią zaczęła tłoczyć się publiczność a gdy wijąc się w koło kopca wznosiła się coraz wyżej i stanęła na samym szczycie, wypuszczono kilka rac, przyjętych z takim okrzykiem radości, że aż szyby zadźwięczały i zadzwoniły szklanki i kieliszki na bufecie.

Zabawa przeciągnęła się do północy, udała się przewybornie, złamano wprawdzie kilka krzeselek i stołów, z drzew naobrywano sporo gałęzi, stratowano kląby i trawniki, stłuczono kilkanaście kufli i z tuzin szklanek, niejednej damie zgnieciono kapelusz, innej oberwano suknię, nabito sporo guzów, wykłócono się, zwymyślano, ale mimo tego wszyscy byli zadowoleni, a szczególniej gospodarz któremu z napitku i z jedzenia, choć się dobrze zaopatrzył, nie zostało nawet skórki chleba.

Grześ z Józiem byli również uradowani, za aktorstwo każdy z chłopców należący do zabawy, dostał po kromie chleba z masłem, kawałe mięsa i kufelku piwa. Nie byli więc ani głodni ani pragnący i w powrocie do domu przywodzili wszystkie szczegóły odbytego widowiska, śmiejąc się i rozprawiając tak głośno jakby u siebie w domu.

Jan tego dnia wrócił ze służby przed wieczorem i był niekontent, że Józia nie zastał w domu. Mateusz zabawiał się w bawaryi, Salomei także nie było a gdy wróciła po dziesiątej Jan jeszcze nie spał, wyczekując powrotu wnuczka. Około północka zjawił się Mateusz w różowym humorze. Usłyszano go jeszcze na schodach jak pośpiewywał i raz wraz utykał, aż wreszcie grzmotnął przy samym progu łbem o drzwi waląc.

— Święta Urszulo, Matko Najświętsza! — zawołała Salomeja — ten człowiek to się kiedy zabije jak palnie łbem o kamień.

Jan przyszedł mu z pomocą, wprowadził do izby a pan majster nic nie tracąc na fantazyi, stanął na środku i krzyknął:

— Grzesiu! chodźno tu... bo ci karku nadłupię... słowo honoru! cóżeś tam podłożył com na tem utknął i urznąłem głową jak baran kiedy się tryksa?

— A toć acpan nie hałasuj i idź spać kiedyś się upił! — zawołała Salomeja.

— Ja się upił? Ja? A bodaj to kroć sto tysięcy...

Pana Mateusza zaledwie Jan zdołał uspokoić i ułożyć na posłaniu, ale sam czekał jeszcze na powrót Józia ciągle nadsłuchując czy do drzwi się nie dobija. Doczekał się go wreszcie, Grześ wsunął się jak lis wkradający do kurnika, a Józio z radością powitał dziadka i zaraz mu opowiadać zaczął całą zabawę, jakiej był uczestnikiem.

Na drugi dzień Jan miał dniówkę, Mateusz nie poniedziałkował ale był kwaśny i jakiś niezadowolony. Ten stan bardzo Grzesia niepokoił, znał jego następstwa na własnych plecach, którym pociągiel w podobnych wypadkach dobrze nieraz dokuczył. Trzymał się też zdala majstra, bliżej środka izbiny, aby odwrót mieć zabezpieczony.

Majster manewr ten dostrzegł, bo nie znajdując czegoś miał zaraz ochotę chwycić za czuprynę swego ucznia, ale nie mógł go ręką dosięgnąć. Poprawiał się więc na stołku, przysuwał, marszczył brwi, coś mamrotał a Grześ jak najobojętniej odsuwał się niby ot tak bez myśli i żadnego planu.

— Czego się ty kręcisz nicponiu? — zapytał wreszcie niecierpliwie. — Niedługo ze stołkiem wyjedziesz do sieni.

Grześ smyrgnął oczami, pociągnął dratwą i po chwili rzekł:

— Wczoraj zmówiłem panu majstrowi dobrą kundmankę. Powiedziała, że przyjdzie z obstalunkiem i dała nam dziesiątkę. Trzeba ją będzie w zapłacie dobrze pociągnąć bo to jakaś bogata pani.

— A za co wam dała dziesiątkę?

— A tak, wypytywała się dwa razy o Długosika, głaskała go po twarzy i bardzo go chwaliła.

— Józia chwaliła? — zapytał Jan zaniepokojony.

Ta troskliwość nieznajomej kobiety bardzo go zastanowiła. Przyszła mu bowiem do myśli przestroga zrobiona przez nieznajomego podróżnika, że rozgłoszenie o pochodzeniu chłopczyny, może się dla niego stać bardzo niebezpiecznem. Zaczął więc zaraz wypytywać się o bliższe szczegóły, jak owa pani wyglądała, co mówiła i jak była ubrana? Z tego wszystkiego choć chłopcy bardzo drobiazgowo opisywali, nic nie mógł domyślić się, zalecił tylko Józkowi, aby był ostrożnym, siedział w domu i unikał nieznajomych osób, wabiących go do siebie.

— Bardzo słusznie, bardzo sprawiedliwie—pochwaliła Salomeja. — W Warszawie różnie się dzieje i kradną nietylko rzeczy i pieniądze, ale dzieci a raz to mnie ukradziono...

Mówiąca zakaszlała się, Mateusz spojrzał na nią i zapytał:

— Pannę ukradziono? A to po co?

— Pewno na macę — objaśnił Grześ z najpoważniejszą miną i śmiech w ręku przydusił. Salomeja ciągle kaszlała wywijając rękami a Mateusz na wyścigi z Grzesiem robił różne przypuszczenia, na coby zdać się mogła kradzież tak dostojnej jak ona osoby.

Wreszcie Salomeja zadławienie uśmierzyła i choć w oczach łez miała pełno zaraz objaśniła, że omyliła się i zamiast *ukradziono*, powinna była powiedzieć, że ją okradziono.

Na drugą niedzielę widowisko w ogródku miało się znowu powtórzyć i chłopcy przez gospodarza zostali zamówieni. Jan poszedł z nimi, ale owej pani choć dobrze szukali, nie spotkali nigdzie. Widać, że zabawą tak tłoczną i bez ceremonii sypiącą kułakami, dosyć się nasyciła i nie miała ochoty powtórzyć jej raz drugi. Jan jednak ciągle myślał, kto mógł być taki w Warszawie, dla którego wnuczek jego nie był obojętny? Oprócz pułkownika nikt więcej nie wiedział czem był właściwie Józio i jakie mu prawa posługują, a tenby się o nim z pewnością nie rozgadywał. Współmieszkańcy jego wiedzieli coś, ale niedokładnie, któż więc była ta co lepiej od nich w rzecz tę była wydocznie wtajemniczona, a przytem młoda bogato ubrana i bywająca w ogródku tylko przez niższą klasę nawiedzanym?

Na drugi dzień Jan poszedł na służbę do rogatek na Pragę. Fur, wozów, bryczek i powozów było pełno, roboty nie brakowało celnikom, uwijali się ze swemi szpikulcami, przetrząsali pakunki, kłuli fury z sianem, słomą i zbożem. Wtem ozwała się trąbka pocztowa i w rogatkach zatrzymał się tarantas, dobrze wypakowany, ze śladami odbytej dalekiej podróży. Siedział w niej młody człowiek, lat trzydzieści kilka mieć mogący, z sutym zarostem i w ubraniu podróżnem oficerskiem, gdy przyszło do meldunku, w świadectwie opatrzonem licznemi podpisami i pieczęciami, stało, że jedzie z Kaukazu, z Temi han-szury, jest oficerem dymisyonowanym i nazywa się Stanisław Stroński.

(*D. c. n.*)

CZEMUŻ?

Ile ptaszków odleciało,
W ciepłą dal,
Ile wody popłynęło,
Z rzecznych fal,
Ile kwiecia wiosna rzuca,
Drogą swą,
Tyle cudnych snów wyśniłem,
Duszą mą!

Ptaszka mego co powrócił,
Pieści dłoń,
Fale rzeki rozszerzyły,
Morską toń,
Kwieciem wiosna przyozdabia,
Pola znów,
Czemuż, ja już śnić nie mogę,
Cudnych snów?

Władysław Buchner.

Z PAMIĘTNIKÓW LITWINA.

(Dalszy ciąg.)

Zdarzało się niekiedy, że miejsce kapelana P. zastępował, nieraz przez czas dłuższy, ksiądz N. Ten niebardzo był u uczniów popularnym, gdyż dziatwa, jak zwykle, bystro ocenia swych przewodników, zwłaszcza duchownych, których wybór jest niezmiernie ważnym z powodu, że nauczyciel religii jest niejako samej religii uosobieniem, a wybór niestosowny, czy to pod wpływem rozmaitych innych względów, czy to przypadkowo dokonany, osłabia i niweczy poczucie religijne u młodzieży. Ksiądz N. często zapominał okularów i wtedy już lekcyi nie słuchał, natomiast prawił nam rozwlekłe morały, które jednak wywoływały skutek chyba wprost przeciwny, z powodu wielu szczegółów niezbyt budujących. Bardzo często ksiądz N. przesłuchawszy lekcyi, zadawał uczniom pytanie: „a co ztąd wynika?", gdy zaś uczeń nie umiał owych wyników objaśnić, ksiądz N. targał za uszy lub za czuprynę, wpół żartem, a wpół na seryo, bez względu na wiek uczniów. Zdarzało się więc, że uczniowie klas wyższych wymykali się księdzu, a ten gonił ich po klasie, ku powszechnej uciesze. Rekolekcye odbywał z nami ksiądz N. bardzo gorliwie. Nauk rekolekcyjnych słuchaliśmy siedząc, ale były tam „medytacye", przy których trzeba było klęczeć, a każda z nich dzieliła się na kilka punktów i tak się zaczynała: „Medytacya pierwsza. Punkt pierwszy. Uważ jak nędznym jest człowiek" i t. d.

Raz, w ferworze kaznodziejskim, trafił się księdzu N. *lapsus linguae*, wnet przez dziatwę podchwycony i często potem przytaczany, „łatwiej jest, prawił kaznodzieja, wielbłądowi przeleźć przez ucho bogacza, aniżeli wnijść do królestwa niebieskiego."

Odświeżając sobie w pamięci postacie innych nauczycieli, spostrzegam, że najżyczliwsze wspomnienie zachowałem o tych, którzy byli surowi i wymagający, ale umieli być także życzliwymi i sami posiadając prawdziwą naukę, dbali o to, żeby przecież czegoś nauczyć. Tak np. pastor K. uczył nas początków łaciny i potrafił nauczyć; a ciężka z nim była sprawa, gdyż podzielił całą klasę na prawicę i lewicę — niby baranów i kozłów i wszyscy na lewej stronie musieli ciągle klęczeć dopóty, dopóki nie nauczyli się deklamacyi i konjugacyi; wtedy dopiero przechodziło się na prawą stronę. Siedzący po prawicy byli to dobrzy uczniowie, a z tych najlepsi mieli nawet ten przywilej, że nauczyciel polecał im przesłuchiwać gorszych uczniów i wystawiać im stopnie w osobnych tak zwanych „ratkach", gdyż klasy były bardzo liczne (po 80 — 100 uczniów), a K. trzymał się tej zasady, żeby wszyscy uczniowie odpowiadali co lekcyą, już to bezpośrednio przed nim, już to przed owymi zamianowanymi przez niego „cenzorami„ lub „audytorami". Od takiego systemu nieodłączne są nadużycia, ale te u nas były rzadkie, gdyż wiedzieliśmy, że K. nie żartuje i że uczniowie z konwiktu kalwińskiego, którego był dozorcą, nienapróżno nadali mu po cichu przydomek „Rzemień".

Biada więc audytorowi, jeżeli sam lekcyi nie umiał albo został przekonany o pewną pobłażliwość dla przesłuchiwanych kolegów: sprawę odkładano do soboty, a wtedy... „Sobotnik" nie minął.

Niebardzo sympatyczną pamięć pozostawili po sobie tacy nauczycielowie jak J., zimny, surowy, łający i o naukę niebardzo dbały; jak R., który zadawał z książki i sam niewiele umiał; jak P. który także łajał i wymyślał, wykrzywiając się przytem i wyprawiając dziwne grymasy. Niektórzy zbytecznie czasem dogadzali uczniom czyli raczej ich lenistwu, a choć to się zrazu podobało i tacy za dobrych uchodzili, później oceniliśmy należycie to ich postępowanie. Tak np. przed egzaminem uczniowie prosili nieraz nauczycieli o pozwolenie wygotowania potrzebnych biletów czyli losów do ciągnienia; czasem zaś poprostu, nie żądając tego pozwolenia, podawano bilety nauczycielowi przed samym egzaminem. Oczywiście, nie z każdym nauczycielem dawało się to zrobić i wiedziano dokładnie, do którego z nich można udać się z tą prośbą i który zwykle zapominał przynosić swoich biletów. Otóż bilety robiono w ten sposób, że dzielono je na dwie połowy, różniące się nieco barwą papieru lub brzegami, już to w górę, już to w dół nieco zagiętemi; tak samo na dwie połowy dzielili się wszyscy uczniowie klasy i każdy uczył się tylko swojej połowy kursu, gdyż na egzaminie wyciągał bilet ze swojej połowy, kierując się wzrokiem lub dotykaniem. Jeżeli przedmiot był obszerny i trudny, bywało nawet niekiedy po trzy „części".

Co do mnie, nigdy z tego fortelu nie korzystałem a zresztą i nie byłbym w stanie, z powodu słabego wzroku i braku koniecznej w takich razach odwagi.

Nauczyciel B. chętniej zawsze czytywał książki w klasie niż odbywał lekcye. Przynosił więc czasem książkę ze sobą i nic nie mówiąc, pogrążał się w czytaniu, a myśmy przez całą godzinę robili co chcieli, (niektórzy w ostatnich ławkach grywali nawet w karty(; gdyśmy zaś dostrzegli, że pan profesor książki do czytania nie przyniósł, jeden z nas ofiarował mu przyniesioną w tym celu jakąś powieść lub coś podobnego, przytem należało zmiarkować, w jakim humorze był p. B. ażeby nasz manewr mógł przynieść pożądany skutek.

Najwięcej figlów wyprawialiśmy z profesorem C. Był to człowiek poważny, łagodny, podobno nawet uczony, ale zawsze bardzo roztargniony i zadumany. Lubił, żeby mu lekcye odpowiadano prędko i gładko, choć niekoniecznie głośno i wyraźnie, a że przytem podobno trochę nie dosłyszał, co rad był ukryć przed uczniami, występujący więc do lekcyi prawił, co mu się podobało, (często nawet Ojcze nasz lub Wierzę w Boga), byleby śmiało i prędko; tylko gdy zawahał się i zaciął, wychodziła na jaw jego nieumiejętność. Niektórzy śmielsi psotnicy, prosząc o pozwolenie wyjścia, zamiast zwykłych w tym wypadku wyra-

żeń, zwracali się do pana profesora np. z zapytaniem: czy można pana profesora wyrzucić za drzwi czy za okno?" Na co pan profesor, nie dosłyszawszy prędko i niezbyt głośno wymówionego zapytania, a biorąc je za zwykłą prośbę o pozwolenie wyjścia odpowiadał: „dobrze", „można", albo „później".

Profesor Ka. wymagał od nas jak najgłośniejszych odpowiedzi, zasadzając całą wartość deklamacyi na jak największem natężeniu głosu. Ztąd niejeden istotnie dostawał chrypki na jego lekcyi, ale częstokroć połowa klasy przychodziła z obwiązanemi szyjami, tłomacząc się bólem gardła, gdy nauczyciel wyzywał ich do krzykliwej deklamacyi.

Z nauczycielem języka niemieckiego Her. żyliśmy w jak największej przyjaźni. Często, szczególniej w klasach wyższych, zamiast lekcyi, toczył z nami poufne pogadanki o rozmaitych sprawach, a gdy słuchał lekcyi, rozprawiał się sobie cichutko z wyrwanym uczniem przy katedrze, tak że nikt tego nie słuchał i nawet dosłyszéć nie mógł i wszyscy robili, co się im podobało.

Słynny z niezmiernej tuszy profesor Cz. nie mógł sobie nigdy dać rady ze swymi słuchaczami, gdyż połowa ich zwykle przebywała na kurytarzu, a gdy pan Cz. wychodził z klasy, ażeby tych dezerterów napowrót zapędzić, tymczasem wymykała się mu druga połowa i rozsypywała po kurytarzu, tak że poczciwy profesor kilkakrotnie musiał powtarzać swoje manewra, uciążliwe dla jego tuszy.

Z tych dorywczych wspomnień o gronie nauczycielskiem, widać aż nadto jasno, że gimnazyum słuckie nie stało już wtedy na wysokości dawnej sławy. Nieraz później przychodziło mi do głowy przypuszczenie (może mylne), że wskutek rozmaitych okoliczności, niektórzy profesorowie zostawali w stanie apatyi i z rozmysłem niebardzo dbali o wykład swoich przedmiotów. Tak między innemi, lubiany bardzo przez uczniów profesor Ba. dyktował nam na lekcyach to, co właściwie znajdowało się w podręcznikach, może dlatego, żeby tylko czas zabić...

Jak między nauczycielami, tak i między uczniami było wielu kalwinów. Był nawet, jak już wspominałem, konwikt czyli pensyonat kalwiński dla 24 ubogich uczniów tego wyznania, utrzymywany kosztem zboru, to jest gminy kalwińskiej. W każdej klasie było kilku uczniów kalwinów, czasem dziesięciu lub więcej. Pomimo to nie było między kolegami niechęci ani uprzedzeń wyznaniowych: owszem najserdeczniejsza przyjaźń łączyła katolików z kalwinami. Żartem tylko czasem nazywaliśmy wszystkich kalwinów „kobyłkami", z powodu że wewnętrzne urządzenie ich kościoła miało jakby podobieństwo ze stajnią.

(D. c. n.)

Przegląd Teatralny.

Oj młody! młody! komedya w czterech aktach Jana Aleksandra hr. Fredry.

Przez trzy wieczory z rzędu i niezawodnie ciągle się to powtarzać będzie, Teatr Letni trząsł się od śmiechu i oklasków. Jednak choć tak wesoło się bawiono, sądy między publicznością o tej nowej sztuce tyle znanego i utalentowanego autora, były bardzo rozmaite. Surowi moraliści utrzymywali, że sztuka jest wysoce niemoralna iże pierwszy raz w naszej literaturze i na naszej scenie ukazuje się utwór oryginalny tak lekki i nieprzyzwoicie swawolny, jak gdyby autor wziął sobie za zadanie zakasować w tym względzie francuzkich pisarzy: inni przeciwnie znowu, więcej zajęci komizmem sytuacyi i własną zabawą, nic w niej złego nie dopatrywali. Ale i pierwsi pomimo zrzędzenia, bawili się wybornie. Prawda, jak to zwykle bywa, po środku się znajdzie. Sytuacye są swawolne i drastyczne, lecz nie przekraczają pewnych granic i ci, którzy chcą znaleźć je nieprzyzwoitemi, w myśli własnej muszą je chyba uzupełnić. Zarzucają także zbyt wielką swobodę w wyrażeniach, lecz oprócz werwy nieustającej i jak fajerwerk iskrzącego się humoru, nic nie obraża uszu słuchaczy; znajdzie się wprawdzie parę nieco trywialnych i zanadto grubych dwuznaczników, ale nasi artyści tyle mają w grze swojej dobrego smaku, iż przesuwając się po nich i nie kładąc nacisku, jakby to każdy artysta francuzki uczynił, zmniejszają o wiele ich drastyczność i prawie niepostrzeżonemi je czyniąc.

Nie podzielając zatem zbyt surowego sądu o tej sztuce, a zachwyceni jej werwą i humorem, nie słabnącym przez całe cztery akty, wyborną budową sceniczną i komizmem ciągle się zmieniających sytuacyi, nie będących nigdzie naciągniętemi lecz konsekwentnie wywływających z samego biegu sztuki, która właściwie nie jest komedyą lecz tylko wyborną farsą i jako taka sądzoną być winna, znajdujemy iż grzeszy jednem tylko, a mianowicie: zupełnem nieprawdopodobieństwem kobiecych typów, których aż siedm autor przedstawia, podobne nigdzie u nas się nieznajdują; typy zaś mezkie są wyborne i żywcem z natury schwycone.

Bohaterem tej farsy jest młodzieniec, a raczej młodzieniaszek bardzo zapalnego temperamentu, student drugiego kursu prawnego, wezwany przez wuja na wieś podczas wakacyi, a to w ukrytym celu poznania go z kuzynką, którą układy familijne na żonę dla niego przeznaczają. Przyjeżdża z tem przekonaniem, że się śmiertelnie na wsi nudzić będzie, lecz nagle znajduje się wśród ładnych kobiet, każda wydaje mu się zachwycającą, w każdej zdaje mu się, iż się kocha; zapały jego z pewną nieśmiałością i wielkiem niedowierzaniem połączone, wysoce są komiczne i p. Wolski, grający rolę tego Józia, stworzył typ wyborny, nowy i całkiem oryginalny, w którym złożył niezaprzeczone dowody prawdziwego talentu. Kobiety, wszystkie bez wyjątku, bo nawet i ciotka *Sur le retour*, rade z wrażenia jakie na młodzieniaszku czynią i nie przywiązując do tego żadnego znaczenia, bawią się nim i zachęcają w tych zalotach, tylko, że zanadto jawnie i obcesowo w czem właśnie sztuka najwięcej błądzi, stając się nieprawdopodobną. Budzi się zazdrość małżonków i rodzą się najzabawniejsze komplikacye, aż dopiero w czwartym akcie Józio poznaje swoją kuzynkę, młodziutkiego także podlotka, tak samo jak inne kobiety w tej sztuce, zbyt obcesowego, i na nią swoje tak łatwo zapalne uczucie przenosi. Ale wuj widząc jakie zamieszanie wywołała żywość i trzpiotostwo Józia, czemprędzej wysyła go napowrót do Krakowa, obiecując mu po trzech latach i skończeniu uniwersytetu rękę córki, kobiety protestują przeciw temu nieodwołalnemu wyrokowi i na tem sztuka się kończy.

Treści, jak widzimy, nie wiele i błaha, ale dowcip i humor z jakim napisana, swoboda i zręczność w przeprowadzeniu, stanowią jej zalety, czyniąc ją jedną z najzabawniejszych fars jakie nasz repertuar posiada.

Nowy ten nabytek nadający się do szarży więcej niż inne, grany był przez wszystkich bez wyjątku z tą miarą dobrego tonu i przyzwoitością jaka cechuje naszych artystów Teatru Rozmaitości, co wiele się przyczyniło do powodzenia sztuki, zacierając to wszystko co zanadto drastyczne być mogło, a zdrowy komizm podnosząc do zenitu. Cóż mówić o Żółkowskim, którego od lat pięćdziesięciu najsroższa, najdrapieżniejsza krytyka tylko chwalić musi, nad którym publiczność się unosi i oklaskami obsypuje? Z małej roli wuja Odyńskiego umiał on zrobić arcydzieło, alež on zawsze to robi. Ostrowski był wyborny jako spolaczony doktor Puffer, Grzywiński toż samo znakomicie przedstawił typ obywatela myśliwego.

W większych rolach, panie Niewiarowska, Lüdowa, Lebrunowa, Borkowska i Micińska były bez zarzutu, trzy pierwsze salonową elegancyą zdobiąc scenę, która tak wiele wdzięku zyskuje na tem. Pani Lüde miała w swej roli moment jeden scenę zazdrości i wyrzutów mężowi, przerywaną wejściem innych osób i znowu ponawianą, w której świetnie wykazała zasoby swego pięknego talentu. Nawet w małej roli podlotka Julki, niedawno przyjęta panna Jerzyna, uczenica Królikowskiego, odznaczała się zrozumieniem sytuacyi, swobodą ruchów i właściwą głosu intonacyą, dość że całość, *l'ensemble*, jak technicznie się wyrażają, tak trudny do osiągnienia, a do prawdziwie wybornego przedstawienia sztuki konieczny, tym razem był bez zarzutu, jakoteż wystawa staranna i elegancka, dzięki gorliwej, niezmordowanej a umiejętnej pracy reżysera p. Tatarkiewicza, którą publiczność ocenić umie i za co szczerze mu jest wdzięczną.

Hieronim Kuczalski.

Pogadanka.

Rozbawiła się Warszawa. Ruch panuje ogromny na ulicach, w ogrodach, teatrach i cukierniach. Jest to prawdziwy letni karnawał, wszędzie tłumno, rojno i wesoło.

Aż rozkosz patrzéć na takie miasto, tyle się widzi ruchu i życia. I nie dziw wcale, wszystko się tak złożyło, ażeby zajmować uwagę publiczności miejskiej i zamiejskiej.

Najpierw targ wełny, na który zjeżdżają się sprzedający i kupcy. Rolnik siedział pół roku na wsi, pracował, a dziś przyjeżdża zgarnąć za pracę miły grosz.

Więc miny tęgie, a oblicze wesołe, twarze ogorzałe a postacie zamaszyste!

Obok targu wełny idą wyścigi. To rozkosz dla sportsmanów, którym na widok pięknego konia oko się zapala, krew raźniej kąży. Jedni mają własne konie, więc pełni oczekiwań rezultatu wyścigów, drudzy tylko amatorzy z przyjemnością przypatrują się dzielnym rumakom, dalej idą tłumy, które gromadzą się wszędzie, gdzie tylko jest coś do widzenia, aby ciąć gapia i udawać zapalonego wyścigowca.

Pierwszy dzień wyścigów był pochmurny i już od rana przypominał się kilkakrotnie deszczyk. Ma on przywilej psucia corocznie wyścigów, po-

mimo tego zebrało się bardzo wiele publiczności. W powozach ukazały się damy... to warte podobno trochę więcej jak wyścigi, chociaż wszyscy zgodzili się na zdanie, że toalety tego roku nie dorównały świetności strojów lat poprzednich. Kuryer jednak poranny inaczej twierdzi, a to nowiniarz który wie nawet to czego nie było.

Pewno żadna z Czytelniczek nie pogniewa się, gdy tu bodaj o kilku strojach wspomnę. Jeden z najbogatszych, a skomplikowanych przedstawiał się tak: stanik i tylne upięcie w rodzaju krótkiego trenu dochodzącego tylko do ziemi, aksamitne koloru *bleu saphir*, przód i boki sukni z atłasu tego samego koloru w wielkie różnokolorowe bukiety *pompadour*. Z pod spódniczki wyciętej na dole z dwóch stron w głębokie zęby w rodzaju klinów, wyglądała *bordeaux* aksamitna spodnia suknia obszyta naokoło falbanką *saphir*. Zęby podszyte atłasem żółtym. Stanik z przodu od góry do dołu bogato w rodzaju żabotu ubrany białemi koronkami. Kapotka *saphir* aksamitna z piórami rajskich ptaków w kolorach zastosowanych do bukietów sukni.

Albo inna: Suknia *changeant*, odcieniu *bordeaux* upięcie w rodzaju luźnej, z tyłu suto związanej szerokiej szarfy szkockiej w duże kraty. Okrycie z jedwabnego rypsu odcienia koloru sukni podszyte atłasem *bordeaux*. Kapotka biała, ryżowa, z ponsowemi kwiatami.

Lub też: Suknia aksamitna *prune* t. j. odcieniu modnego *terracota*, upięcie z materyi w odcieniu sukni, lecz znacznie jaśniejsze w biały rzucik. Kapelusz *Niniche*, aksamitny koloru sukni z jasnem piórem. Naszyjnik przepyszny antik z oksydowanego srebra i lapis lazuli.

I takich wiele, a wszystko piękne, wytworne, zwracające na siebie uwagę. Cóż dziwnego, że wielu patrzało tylko na powozy i ich właścicielki.

Kiedy tak pięknie i wesoło było na placu wyścigów — na Solcu odezwał się głos: gore!

Ogień powstał w budynku młyna nadwiślańskiego, którego dzierżawcą jest niejaki Młynek. Skaranie boskie, mówił lud, patrząc na wielkie kłęby dymu, bo się nie godzi w niedzielę pracować; na to święto, ażeby odpocząć, pomodlić się i zabawić.

Tymczasem płomienie świątecznym blaskiem, buchały pod niebiosa. Nadbiegły straże i uratowały budynki mieszkalne od pożaru.

W najbliższem sąsiedztwie tego młyna stoi kościołek — w nim w chwili pożaru para młodych brała błogosławieństwo kapłana na drogę żywota. Wracali do domowego ogniska pomiędzy dym i płomienie, a drogę im torowała straż pożarna.

I znowu pytali niektórzy, czyli to dobra wróżba? Ludzie są ciekawi i radziby wiedzieć z góry, czy im dobrze będzie, czyli też źle. Ciekawość to naturalna, bo przyszłość niezbadana a życie... nęci jak kwiat róży co kolcem kłuje.

Nadzieja w niepewności musi być pocieszycielką...

Na drugi dzień zaraz o godzinie 9 wieczorem, podobny głos rozległ się po całej Warszawie: Teatr się pali! I spalił się, na szczęście bez ludzi bo nie w czasie przedstawienia, a jak to wszystkich mieszkańców zmartwiło, łatwo sobie wyobrazić!

Nie pierwszy to nasz smutek!

Wracajmy do wyścigów.

Deszcz ulewny przerwał świetny ich koniec. Panie musiały szukać schronienia pod parasolami i płaszczykami, świetne toalety znikły i... udano się na plac wystawy koni i inwentarza.

I tu słota nie pozwoliła rozwinąć zwykłego blasku. Musiano zaniechać paradnego wjazdu ekwipaży jeźdzcy tylko zrobili koło, a niebo zadąsane nie miało litości. Wystawa przedstawia się wogóle bardzo dobrze, okazy istotnie piękne, zjazd liczny, a ztąd niezawodnie spłynie korzyść dla zwiedzających i zachęci ich do poprawnej gospodarki. Dr. Lesser miał wykłady o gospodarstwie mlecznem — wykłady poparte doświadczeniami miały powodzenie.

Z dnia otwarcia wystawy, zaznaczyć jeszcze wypada wyścigi koni chłopskich. Sześciu włościan stanęło w zawody. Pędzili na koniach nie jak ulalkowani dżokeje, ale jak nasi dzielni mazurzy, co to dzielni i do wypitki i do wybitki.

— Nie daj się Walek — wołano. I Walek też nie dał się, zwyciężył swych współzawodników i dostał nagrody dwieście złotych. To niebagatela!

Lecz nie koniec na tem uroczystości warszawskich; dzień otwarcia wystawy obfitował w przyjemności nielada! W południe, a więc przed wyścigami był koncert panny Józefy Reszkówny, na rzecz budowy nowego gmachu Towarzystwa zachęty sztuk pięknych. Imię koncertantki wystarczało, ażeby pomimo tropikalnego gorąca zapełnić salę redutową. Co tylko najpiękniejszego świat warszawski posiada, można było ujrzeć na koncercie tej szczodrej warszawianki, która wszystkie pożyteczne instytucye darzy wspaniałemi dochodami. Za jej dary tylko miłością ogółu można zapłacić. Zbiera wieńce i bukiety z kwiecia, lecz i serca zdobywa.

Nakoniec wielce utalentowany artysta malarz, Franciszek Żmurko ukończył obraz wielkich rozmiarów: „Śmierć Messaliny” i wystawił go w sali Resursy Obywatelskiej. Jest to dzieło w całem tego słowa znaczeniu piękne, bo łączy w sobie i pomysł dobry i kompozycyę iście artystyczną i technikę wykończoną. Podamy później szkic obyczajowy z życia Rzymian w epoce, w której Messalina doprowadziła bezwstyd do niebywałych granic. Dziś poprzestajemy na oddaniu zasłużonych pochwał artyście, który w swym zawodzie idzie ciągle naprzód. Życzymy mu szczerze by zdobył wawrzyny, jak mistrz jego Matejko. Szczęśliwi będziemy, gdy ta wróżba i życzenie spełnią się...

Es. Zet.

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

Wspominaliśmy już, że karnawał, który u nas ciągnie się pomiędzy nowym rokiem a postem, w Paryżu inną obrał dla siebie porę. Tu od lat kilku rozpoczyna się z Wielkanocą, a kończy po Zielonych świątkach, ostatnim a najświetniejszym jego objawem są wielkie wyścigi konne, różniące się tem od innych, że miasto Paryż wyznacza 100,000 franków szczęśliwym tryumfatorom. Na te gody przypływają *sportsmany* angielscy, z końmi zaprawnemi do biegu i zdarza się częstokroć, że wydzierają palmę Francuzom. W tym roku jednak inaczej się stało. Biegun księcia de Castries, wiatronogi *Frontain*, zdobył pierwszą nagrodę. „Pobiliśmy Anglików! Francya górą!” wołają dzienniki, wielkim chórem, a gdyby według rozgłosu można mierzyć doniosłość zwycięztwa, gotowibyśmy przypuścić, że tryumf dzisiajszy, przewyższa ten jaki odniosła Joanna d'Arc pod murami niegdyś Orleanu!

Frontain dał pobudkę do nowej mody, przybrany był w białe i czerwone wstęgi, w odcieniu jasno wiśniowym *cerise*, takiemi wstęgami Paryżanki zdobią dziś suknie, kapelusze i parasolki.

Wśród sukien, w dniu wyścigów przeważał kolor biały i czarny. Białe sukie z lekkiej tkaniny *voile de l'Inde*, garnirowane były koronką białą, podpinane rozetami z różnobarwnych wstążek, w mięszanych odcieniach, jak blado niebieski, z ciemno szafirowym *bleu marin*, blado różowy z *caroubier*, blado lilla z fioletowym, przypominamy tylko, że wszystkie kolory dziś używane, mają fałszywy odcień, niebieski wyobraża pochmurzone niebo, różowy zgniłą poziomkę lub malinę, lilla zachodzi w czerwieniawy albo popielaty. Jedyny wyjątek stanowi żywa barwa *cerise*, przyjęta od *Frontina*.

Suknie czarne na wyścigach, po większej części haftowane były *dżetem*, co na słońcu świetnie się przedstawiało. Najwięcej uważaliśmy grenadinowych w rzucane liście lub kwiaty aksamitne, obwiedzione paciorkami, podobały nam się też bardzo suknie grenadinowe haftowane sznelą w węzełki spadające nakształt małych chwaścików. Z tej tkaniny robią tylko tunikę, spódniczka pod to bywa gładka jedwabna, z plisowanemi falbankami, a niekiedy frendzlą sznelową.

Z kolorowych, zwracała uwagę suknia jedwabna w perski deseń na tle złotawem, ogarnirowana koroną. Kapelusik do tego ze słomki pozłacanej z pękiem piór białych, nakrapianych złotem.

Inna suknia brązowa z *satin merveilleux*, miała tunikę obszytą wolancikiem z walensieny, podpinaną rozetami ze wstążki poziomkowej. Kapotka składała się z poziomkowego denka i ronda brązowego; zdobił ją wielki bukiet z poziomek.

Pięknie też wyglądała suknia jedwabna, w jasno szafirowym marynarskim odcieniu, nagarnirowana koronką czarną z dżetem. Dopełniał stroju kapelusik czarny koronkowy naszyty dżetem z bukietem róż blado różowych z boku.

Zwracał powszechną uwagę, oryginalny kapelusik pani Rodszyldowej, cały nastrzępiony drobną słomką, wyglądał jakby rzysko po zżętem zbożu, wśród tych strzępków gnieździły się tu i owdzie drobne ptaszęta.

Mnóstwo też było kapeluszy ubieranych owocami wszelkiego rodzaju. Wyznać musimy, że morele, jabłka, mandarynki, cytryny, śliwki, nie bardzo estetycznie wyglądają, za to pożyczki, maliny i poziomki ładnie zdobią słomkowy kapelusik, z początkiem jesieni przyjdzie kolej na winogrona.

Parasolki, niedawno jeszcze tak jednostajne odznaczają się dość wielką rozmaitością i gustem. Uważaliśmy najwięcej białych lub czarnych koronkowych na takiem samem podwleczeniu. W koło idzie wolancik koronkowy, w górze dana wielka rozeta z koronki, od niej spadają dokoła gałązki z liści lub z drobnych pnących kwiatów.

Na bale, które powtarzały się tu bezustannie w ciągu kwietnia i maja, magazyny tutajsze przygotowały mnóstwo świetnych toalet, o wielu z nich przemilczymy dziś, gdyż pora balów już minęła, ponieważ jednak zdarzają się zawsze wesela i inne uroczystości rodzinne, opiszemy jednę z tych sukien. Spódniczka z materyi mienionej w kolo-

rze pożyczkowym i złotym, naszyta była mnóstwem plisowanych falbanek, z tulu białego w paski przewłóczone nicią złotą, na każdą pliskę spadało grono pożyczek. Stanik atłasowy, także mieniony w dwóch kolorach, przybrany był odpowiednio na wykroje, od boków szła draperya, zakończona w tyle powłoką, ogarnirowana również koronką i pożyczkami.

Na wystawie kwiatów na polach elizejskich widzieliśmy też bardzo ładne toalety, opiszemy z nich kilka, takie same, przyjęte będą u wód i u kąpieli morskich, przeważa w nich jak już mówiliśmy kolor czarny.

Pierwszy kostium. Spódniczka czarna atłasowa, przód nagarnirowany *en tablier*, koronkę czarną szeroką na ćwierć łokcia. Z tyłu wielki puff ułożony, z kwadratowej chustki koronkowej. Stanik z przodu nagarnirowany koronką, plecy z grenadiny w aksamitny deseń i takież rękawki buffowane w górze, sięgają do łokcia, zakończone koronką. Kapelusik do tego biały koronkowy na czarnem podwleczeniu, okrągły jak czapeczka, przybrany z boku pękiem konwalii z liśćmi.

Drugi, kostium. Spódnica czarna jedwabna w aksamitne księżyce, zakończona u dołu dwoma plisowanemi falbaneczkami. Na to tunika z wełnianej tkaniny *voile de l'Inde*, bardzo rzęsisto przymarszczona, z przodu tworzy feston, w tyle puff podpinany, w koło idzie garnirunek z błądyny hiszpańskiej. Stanik francuzki z potrójnym wolancikiem błądynowym. Kapelusik czarny z cienkiej słomki, z długiem piórem strósiem koloru śmietankowego.

Trzeci kostium. Spódnica w turecki deseń, w kolorach złotym i morderowym, cała układana w wielkie fałdy. Na wierz tunika z *voile de l'Inde* w kolorze popielatym *gris ardoise*, z przodu tworzy draperyą w kształcie fartuszka, z tyłu wielki puff podpięty długiemi puklami z wstążki atłasowej popielatej. Stanik długi zachodzi na biodra. Plecy rozcięte, w pośrodku wstawiony klin z materyi tureckiej. Kapelusz do tego czarny słomkowy, ubrany morderowym aksamitem; z wierzchu wielki bukiet z pąsowego głogu; końce z wązkiej aksamitki morderowej, związane z boku na wielkie pukle.

Czwarty kostium chiński. Spódniczka z gładkiego fularu *surah* w kolorze kukurydzowym *maïs* na wierzch tunika tegoż koloru, w deseń *caroubier*, wyobrażający chińczyków, domki, drzewka i t. p., draperye tuniki podpięte rozetami z wstążki atłasowej tego koloru jak deseń. Takaż wstążka przeciągnięta od boków, związana z przodu na długą kokardę poniżej bawetu, kapelusik do tego słomkowy, przybrany wieńcem maczków.

Piąty kostium także fularowy. Spódnica koloru rozmarynowego w kratę złotawą i *caroubier*. Z przodu dwa szerokie wolanty, oddzielone przymarszczoną kilka razy wodą. Na wierzch polka z ciemnozielonego *voile de l'Inde*, poły u niej podbite fularem w kratę. Kapelusik słomkowy w kolorze rozmarynowym, z boku wielki bukiet z moreli i pożyczek.

Szósty kostium. Spódniczka fularowa w drobną kratkę białą i ciemno szafirową, cała układana w wielkie fałdy. Na to tunika gładka wełniana ciemno szafirowa, podbita fularem w kratkę. Stanik francuzki roztwarty na przodzie z pod spodu wygląda plastron marszczony z fularu w kratkę. Kapelusik szafirowy słomkowy, przybrany bławatkami w różnych odcieniach.

Mnóstwo widać na ulicy długich płaszczyków, zwanych *pelisse*, z lekkiej wełnianej tkaniny albo z niewarowego płótna, batystu lub fularu, strojniejsze obszywają szarą koronką, podpinają rozetami z wstążki w ciemnym kolorze. Płaszczyki te sięgają do kostek, kilka razy przemarszone są w stanie, niekiedy od boków do przodu idzie wstążka, szeroka na trzy cale, przewiązana długą kokardą. Niektóre z lekkiego *voile de l'Inde* podbijają marseliną w kolorze *caroubier* lub szafirowym.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Jeden z młodych poetów osiadłych we Lwowie, napisał do Kraszewskiego list w formie wierszowanej, z powodu ostatniej ciężkiej jego choroby. Odpowiedź czcigodnego jubilata na ten list podaje „Kuryer Lwowski”.

Ja się nie skarżę, o mój panie drogi!
Ani na ciężkie średnich krzyżów brzemię,
Ni na wędrówką skaleczałe nogi,
Ani na losy, ludzi, ni na ziemię...

Skarżę się tylko na samego siebie,
Że tak bezsilnym czuję się — gdy tyle
Zostało jeszcze!
Grzebię się i grzebię,
Końca nie widać — a zliczone chwile...

Skarżę się na to, że długie godziny
Ból mi odbiera i przechodzą marnie...
Oto skarg źródła i smutków przyczyny,
Oto me troski i moje męczarnie.

A serca wasze, to zdrój jest jedyny
Z którego, kiedy zwątpienie ogarnie,
Czerpię pociechę — chłodzę spiekłe wargi:
Dzięki wam dzięki — i niech milczą skargi.

U dołu notatka:

W strasznych boleściach i wiersz ten boleściowy, nocą z 25 na 26 maja 1883 r. wyjęczony.

J. I. Kraszewski.

*** Korespondent z Paryża do „Biesiady Literackiej” pisze o Androllim:

„Byliśmy razem na grobie Mickiewicza... Czy znasz cmentarz paryzki? To nie kośnica — tu śmierć wśród cyprysów, grzęd kwiatów i posłań marmurowych, smętne twarze zmusza do uśmiechu... Gronko nasze było niewielkie ale bratnie; mężczyźni niepoprawni rozprawiali o polityce, kobiety wieńce i bukiety niosły na grób wieszcza.. Andriolli niósł także w ręku jakieś zawiniątko, jakby świeżo spłukane wodą.. a przecież deszcz nie padał, a rosa wyschła już dawno... Wiadomo co się robi na grobie prostego wygnańca i na grobie wielkiego poety... Nie komponuje się wierszy ani wykrzykników, nie prawi się nieboszczykowi komplementów, ale modli się po naszemu, na klęczkach, z głową pochyloną ku ziemi — odmawiając pacierz i wieczne odpocznienie.

„Podniosłszy oczy — zobaczyłem cztery gałązki świeżo utkwione w ziemi, cztery wierzby nadwiślańskie... Przywiózł je z sobą Andriolli, przywiózł co mógł najlepszego na grób wieszcza naszego... Gałązki te pielęgnował w ciągu drogi, a w Paryżu polewał i obkładał ziemią żeby nie uschły — to dar romantyka rozkochanego w swojem niebie, w swojej ziemi... Gdy nam Mickiewicza zabiorą do Krakowa, pozostaną wierzby; przydadzą się one dla nowego lokatora, którego zmęczona głowa w tem samem miejscu się ułoży... A nie braknie nam na obczyźnie głów godnych zająć miejsce wsławione prochami mistrza. Niech więc wierzby rosną, przyjmą się one, bo je pielęgnować będzie cała kolonia polska.”

Tenże korespondent donosi, że około 15 czerwca polska kolonia w Paryżu oczekuje przybycia Kraszewskiego, który w powrocie z Pau, ma się tam dla odpoczynku kilka dni zatrzymać. Przyjęcie będzie owacyjne, o ile stan zdrowia czcigodnego gościa na to pozwoli; w owacyi tej ma przyjąć także udział dziennikarstwo francuzkie. Andriolli zamieści w illustracyach portret naszego olbrzyma, a Chodźkiewicz napisze życiorys.

NOWE WYDAWNICTWA.

Pieśni daurskie. Na dalekim wschodzie pomiędzy górami Jabłonnemi a Mandżuryą, znajduje się kraj zwany Dauryą, do którego nieszczęśliwe okoliczności w r. 1847 zagnały ziomka naszego ś. p. Adama Grossa. W ciągu dwunastoletniego tamże pobytu, obdarzony niepospolitym muzycznym talentem, w tęsknocie za ojczystym krajem pocieszał bolejącą duszę układaniem melodyi do utworów poetycznych różnych naszych poetów. Dopóki żył prace te spoczywały w tece autora znane tylko szczupłemu kółku przyjaciół: wprawdzie zbierał się ciągle wydać je na widok publiczny, ale jakoś nie przyszło do tego, brak czasu przeszkadzał zawsze do ich uporządkowania. Przyjaźń dopiero spełniła to i ratując szczątki natchnionej pracy zdolnego muzyka poety i zacnego człowieka, postanowiła wydać je pod ogólną nazwą „Pieśni daurskich”, na pamiątkę, że w Dauryi ułożone zostały. W pierwszym zeszycie jaki już wyszedł na widok publiczny, znajduje się siedm pieśni, a mianowicie: Świetezianka, Mickiewicza; Pielgrzym, Trzeci szturm do Stawiszcz, Rojenia wiosenne, Bohdana Zaleskiego; Ballada Małgosi, Śpiewak, tłom. A. A. K.; Pieśń Lady Martimes, słowa G. E. i polonez starej daty na cztery ręce.

Wszystkie te pieśni zalecają się wielką prostotą, łatwym układem akompaniamentu i prześliczną melodyą jakby podsłuchaną na rodzinnym zagonie.

W polonezie zaś na cztery ręce, powaga tego pięknego tańca ślicznie uwydatniona. Pierwsza serya ozdobnie wydana kosztuje rs. 3 i za pośrednictwem naszej Redakcyi może być nabytą.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою, Варшава 1 Іюня 1883 г.

Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

STARY ZAMEK.

(La Lizardiere).

ROMANS WSPÓŁCZESNY

przez

Wicehrabiego Henryka de Bornier.

Przekład J. B.

(Dalszy ciąg.)

Wyszedłszy na peron, wszyscy zatrzymali się chwilę. Noc była prześliczna; księżyc roztaczał piękne swe światło na błękitnem jeszcze niebie. Na lewo ciągnęło się niezmierzone pole, na które rzucały cień ogromne drzewa lasu, na prawo, rozległa jakby posrebrzona łąka dochodząca aż do wsi. Mały Zamek stał nieco naprzód wysunięty, a dwie ostre jego wieżyce rysowały się czarno w pośród tak pogodnej nocy.

Wziąwszy Jana pod rękę, hrabia poszedł przodem a za nimi Krystyna prowadząca za rękę Marylkę. Za kilka minut doszli do Małego Zamku.

Rozmiary jego nie zupełnie usprawiedliwiały tę nazwę. Po obu końcach wznosiły się dwie wieżyce z piętnastego stulecia; na dole była wielka sala i pare mniejszych pokoi, takiż sam rozkład na pierwszem piętrze. Na ławce stojącej u stóp jednej wieżyc y, oczekiwał stary Pieyrard; obok niego stała koza, Klodion leżał przy nogach.

Ujrzawszy pana, Klodion zerwał się i zaszczekał radośnie, a koza zabeczała wesoło; Pieyrard wstał i otworzył drzwi, któremi najpierwsza weszła hrabina. Jednem spojrzeniem objęła cały salon, oświecony stojącą na stole lampą. Stała w nim szafa z książkami; na ścianach rozwieszona była broń i trofea; meble skromne ale wygodne i gustowne; czystość i porządek wzorowy. Przypomniawszy sobie Lizardière, hrabina uśmiechnęła się nieznacznie. Może i Janowi taż sama myśl przyszła do głowy, może i jemu stanęło w oczach Lizardière, tylko on nie uśmiechnął się ale zarumienił.

Zwiedziwszy parter udano się na pierwsze piętro; tylko Marylka pozostała na dole, pragnąc zaznajomić się bliżej z kozą i Klodionem.

Hrabina była zadowolniona; jak na parterze tak i tu nie zapomniano o niczem, było to prawdziwe gniazdko poety i artysty. Hrabia obejrzał się do koła; potem biorąc Jana na stronę rzekł ze śmiechem.

— Słuchajno, chłopcze, mieszkać będziesz tuż obok wsi... otóż nie zapominaj że jestem merem i naturalnym obrońcą wszystkich mieszkanek gminy... pamiętaj szanować płeć słabą!.. A widząc pomięszanie Jana dodał: Żartuję, mój drogi, wiem że jesteś istnym anachoretą!

Pożegnali się — Jan odprowadził ich do drzwi nowego swego mieszkania; był tak głęboko wzruszony iż zaledwie zdołał wyszeptać:

— Jakże dobrzy jesteście dla mnie!

Usłyszawszy te słowa, hrabia krzyknął:

— Dobrzy! dobrzy! nie może tu być mowy o żadnej dobroci — chcę mieć pięknie malowaną zbrojownię — i koniec. Malarz obcy, choćbynawet nie szczególny kazałby zapłacić sobie bajeczne summy, z tobą zaś żadnych nie będę robił ceremonij, nie zapłacę ani grosz więcej nad wartość twej pracy... Spodziewam się że nie tracąc czasu, jutro zaraz zabierzesz się do roboty — inaczej będę się gniewał, a zobaczysz że to nie żarty... A teraz bywaj zdrów, uściskaj Marylkę i idź spać.

I silnie uścisnąwszy dłoń Jana, hrabia oddalił się wraz z żoną i córką, i zwrócili się ku pałacowi, którego wielka fasada i ciemny dach wyraźnie rysowały się w śród jasnej nocy.

Co do Jana, mimo silnych doznanych w dniu tym wzruszeń i wrażeń, spał daleko spokojniej niż uprzedniej nocy.

VII.

Hrabia de Chazé elegancko ubrany.

Nazajutrz, jeszcze przed ósmą rano, Jan pracował już w wielkiej sali pałacowej. Po głębszej rozwadze mógł ocenić właściwie całą szlachetność hrabiego i Krystyny, ukrywającą się pod przyjaznem napominaniem kuzynki i surowem niby łajaniem kuzyna. Teraz już myśl odzyskania przez pracę posiadłości naddziadów, nie przedstawiała mu się jako poniżenie, ale jak obowiązek. Myślał z przerażeniem iż gdyby nie pomysł hrabiego który postanowił kupić Lizardière, zostałoby za bezcen sprzedane pierwszemu lepszemu; zrujnowany zamek zrucony a grunt rozparcelowany i sprzedany chłopom. Teraz przeciwnie, dzięki szlachetnej pomocy kuzyna, będzie mógł powrócić do tej cząstki dziedzictwa naddziadów, wrócić nie tak bardzo biednym i mniej niespokojnym o przyszłość.

Tak więc z tego powodu, jakoteż dla zasłużenia na okazywane mu współczucie, pragnął jak najprędzej zabrać się do roboty.

Wszedłszy do sali znalazł w niej przygotowane wszystko czego tylko mógł zapotrzebować, płótno, farby, stalugi, pendzle. Z początku namyślał się i wahał, powoli jednak zapomniawszy o wszystkiem, myślał tylko o zamierzonem polowaniu na dzika, którego szkic niebawem odrysował.

Zajęty wyłącznie tą pierwszą walką artysty ze swoim pomysłem, Jan nie widział że ktoś wszedł do sali; wtedy więc dopiero odwrócił głowę gdy usłyszał za sobą słowa wypowiedziane łagodnym i poważnym głosem.

— Dobrze, dobrze, kochany kuzynie, jestem z ciebie zadowolniona.

Była to Krystyna przybyła z Marylką, która bardzo polubiła kuzynka Jana. Pobiegła też do niego i chwytając za rękę powiedziała dzień dobry.

— Chodź na śniadanie, kuzynie, rzekła Krystyna; tylko uprzedzam że nie będzie miał kto kłócić się z tobą. Hrabia wyjechał na polowanie w lesie Mesnil i wróci dopiero na obiad. No, podaj mi rękę, szczęśliwy współzawodniku Snyders'a i Hobbemy.

Po śniadaniu, Krystyna skinęła na Marylkę, dziewczynka zrozumiała widać, gdyż wybiegła prędko wracając niebawem z małą cygarniczką, na której wyhaftowany był monogram Jana.

— Jestto pierwsza, ważniejsza nieco praca Marylki, rzekła hrabina, otóż przeznaczona jest dla ciebie, wraz z zawartemi w niej cygarami. Malarze lubią palić, jeźli się nie mylę, dla przytłumienia odoru farb olejnych. Pozwalam ci więc użyć tej rozrywki po pracy; wypal cygaro a ja pójdę odwiedzić moich biednych. Do widzenia.

Jan z wielką przyjemnością palił wyborne cygara. Pracował gorliwie i z wielkim zamiłowaniem, była godzina czwarta a on nie odstąpił od sztalug.

Odgłos kroków i rozmowy przerwał jego zajęcie; spojrzał ku otwierającym się drzwiom i pobladł nieco. Zobaczył wchodzącą całą rodzinę Désormes, wprowadzoną przez hrabiego i Krystynę.

— Wybacz, kochany kuzynie, rzekła hrabina podchodząc ku niemu, zapomniałam powiedzić ci że mamy dziś na obiedzie pana Désormes, z córką i z synem; pan Fryderyk Legrand zrobił nam wielką przyjemność przybywając z nimi.

— Panie Désormes, rzekł hrabia, pozwól przedstawić sobie mojego kuzyna; pan margrabia de Lizardière.

— Mieliśmy już przyjemność widzić pana margrabiego, odpowiedział pan Désormes; podając rękę zadziwionemu i milczącemu Janowi.

— Kuzyn mój wielką oddaje mi przysługę, rzekł znowu hrabia. Ulegając usilnym naszym prośbom, obiecał przyozdobić czterema obrazami ściany tej sali, zaniedbanej od czasu Rewolucyi, chciałem więc przedstawić go państwu właśnie w chwili gdy daje nam dowód tak wielkiej życzliwości.

Słysząc to tak wielką delikatnością natchnione tłómaczenie, Jan uczuł się żywo wzruszonym. W tej chwili hrabia de Chazé niczem nie przypominał wczorajszego wiejskiego szlachcica i dawnego wojskowego.

Ubrany według ostatniej mody, w białym krawacie i w czarnym fraku, w lakierowanych bucikach, świeżo ogolony i starannie uczesany, pełen wrodzonej dystynkcyi, miły i swobodny w obejściu, miał prawdziwie pańską minę,

Z początku obiad był bardzo ceremonialny — biesiadnicy bowiem mało bardzo się znali. Państwo de Chazé przed tygodniem byli na obiedzie w Bruyeres, u pana Désormes, wywzajemniali się więc za tę pierwszą sąsiedzką grzeczność. Wszyscy tedy byli trochę sztywni, mierzyli słówka i obserwowali się wzajemnie. Na szczęście jakoś poruszono pewną kwestyę rolną.

Pan Désormes był znakomitym agronomem; na wszystkich wystawach z gospodarstwa rolnego, zyskiwał medale honorowe, a wzorowe gospodarstwo jakie zaprowadził w Bruyeres, słynęło szeroko z zastosowanych w niem ulepszeń i nowości. Pan de Chazé znowu bynajmniej nie był nowatorem; dotąd nie zdecydował się nawet na młockarnię, a co o pługach parowych to i słyszeć nie chciał. Otóż w ważnym tym przedmiocie rozprawiali ze znajomością rzeczy, i dzięki wzajemnym ustępstwom, nie przyszło do sprzeczki. Znać było że dysputujący szanują się wzajemnie, i że tylko nie mieli jeszcze czasu zostać przyjaciółmi.

Hrabina znów z swej strony starała się nie skazywać pana Fyrderyka Legrand na zbyt długie milczenie. Wiedząc że wiele podróżował i wydał nawet opisy niektórych swych wędrówek, zaczęła mówić z nim o tem, odpowiedzi jego dowodziły że był głęboko ukształconym i oczytanym, i hrabina znajdowała prawdziwą przyjemność w jego rozmowie.

Młody Rayul i Marylka, prędko porozumieli się z sobą. Raul zdał właśnie egzamin bakalarski i opowiadał Marylce doznane z tego powodu wrażenia i niepokój, ona wzajemnie wtajemniczała go w dzieje wszystkich swoich lalek, od najmniejszej aż do wielkiej posiadanej obecnie.

Trudniej daleko przychodziło porozumiéć się z sobą pannie Rajmundzie i siedzącemu obok niej Janowi. Z drugiej strony siedział przy niej hrabia de Chazé, ale ten wypowiedziawszy kilka obowiązkowych grzeczności, nie zajmował się nią więcej, całkiem oddany swej rozprawie z jej ojcem. Jan daremnie męczył się i przyzywał na pomoc wyobraźnię aby znaleźć wątek do jakiejś rozmowy, czując że należało koniecznie przerwać kłopotliwe milczenie, które z jego strony stawało się prawie niegrzecznością.

Zdaje się że panna Rajmunda nie kłopotała się bynajmniej tem uporczywem milczeniem sąsiadów; była widocznie najzupełniej spokojna, a co więcej zachwycająco piękna. Wyniosłą minę jaką nadawał jej wczoraj ubiór do konnej jazdy, zastępowała obecnie pewna łagodna powaga. Miała na sobie białą suknię, trochę zaledwie otwartą pod szyją, przybraną niebieską wstążką; wpięta w jasne włosy róża herbaciana, ślicznie odbijała od nich; cień padający od długich rzęs łagodził żywość rumieńca; głowę trzymała zazwyczaj nieco w tył pochyloną, jak królowa zdala i z wysokości spoglądająca na tłumy.

Nareszcie powoli odwróciła głowę i rzekła swobodnie.

— Panie de Lizardière, mam wielką ochotę zapytać jak się miewa wielko-grzywy Klodion; pamiętam go dobrze, choć zdaje mi się wcale nie mam u niego łaski.

— Wyłajałem go porządnie i bardzo żałuje swego niegrzecznego zachowania.

— Nie wierzę ani w łajanie ani w żal jego. Za nadto jesteś pan do niego przywiązany, abyś mógł się na to zdobyć — a on znów uważa pewnie że był w swojem prawie. Założyłabym się że umieścisz go pan w tem polowaniu na dzika, którego śliczny szkic widzieliśmy przed chwilą.

— Panno Rajmundo zakrawa to na pochlebstwo.

— Nigdy i nikomu nie pochlebiam, panie de Lizardière, a myślę że i pan tego nie czynisz.

— Odnośnie do pani, jestto piękny przymiot, ja zaś umiałem zrobić z niego brzydką wadę.

— Wady, a niekiedy także i przymioty zacierają się z czasem. Ale mówię to bez żadnego pochlebstwa iż szkic ten odznacza się wielką swobodą i lekkością.

Jan skłonił sie nie bez pewnego zadowolnienia, ale z odcieniem jakiejś zimnej przezorności, do której pobudzało go nieprzeparcie sąsiedztwo panny Désormes. Jednakże raz zawiązana rozmowa ciągnęła się dalej i stała się nawet dość ożywioną. Rajmunda odebrała bardzo świetną edukacyę; o wszystkiem co odnosiło się do sztuki mówiła bez zarozumienia, ale z wielką trafnością poglądów, dowodzącą że wiele widziała i dobrze pamięta szczegóły.

Jan ożywił się stopniowo i odpowiadał nie z tak zimną obojętnością jak z początku; mimowoli budził się w nim artysta i teraz on nawzajem zadziwił sąsiadkę swemi wiadomościami i oryginalnością umysłu.

Dość ożywiona ich rozmowa zwróciła uwagę pana Fryderyka Legrand; wpatrywał się w Jana i w pannę Rajmundę i zmarszczył brwi. Dla czego? Nie wiemy, a Jan i panna Rajmuda nie dostrzegli tego. Rozmawiali teraz z sobą prawie przyjaźnie, gdy w tem ona wielkiej dupuściła się niezręczności. Mówili o jakichś wspaniałych pałacach, i zdawało jej się że właśnie jestto wyborna sposobność do powiedzenia mu:

— Otóż coś równie pięknego zrobiłabym z Lizardière, gdyby pan chciał mi go sprzedać.

— Nie pani; teraz mniej niż kiedykolwiek! zawołał unosząc się bardzo.

I znów nastało milczenie, tym razem daleko przykrzejsze jeszcze. Jan może nie bez goryczy myślał sobie, iż był to jedyny cel pochlebstw jakich nie szczędziła mu panna Désormes; ona znów zrozumiała swoją niezręczność, wstydziła się jej i gniewała na niego. Położenie z każdą chwilą stawało się dla obojga coraz trudniejsze; na szczęście obiad miał się ku końcowi, wszyscy wstali niedługo. Jan zniewolony był podać rękę Rajmundzie i odprowadzić ją do salonu. Ponieważ z Marcilly do Bruyeres było dość daleko, pan Désormes prosił aby mu wolno było wcześnie odjechać, pożegnanie było równie uprzejme jak przywitanie, ale też jeszcze równie ceremonialne.

Gdy pan de Chazé pozostał z rodziną i z Janem, rzucił się na fotel, wyciągnął ręce, i oddychając z głębi piersi zawołał grzmiącym głosem:

— Bardzo mili, doskonali — ale potrzebuję się wykrzyczéć — powstrzymywałem się tak długo.

Po tym wykrzykniku uspokoił się — nie na długo przecież, gdyż przypomniał sobie zamierzoną podróż.

— Masz tobie! byłbym zapomniał że jutro muszę jechać do Baugé; przecież to termin oznaczony do licytacyi Lizardière. Franciszek, poczciwy komornik z Noyant, przysłał umyślnego aby mnie o tem zawiadomić. Ma się rozumiéć, kuzynie, pojadę sam, twoja obecność byłaby niestowną. Zresztą będzie to prosta formalność; nikt nie dałby za Lizardière dziesięciu tysięcy franków, a ja gotów jestem licytować do piętnastu tysięcy.

— Żeby tylko Désormes'owie nie przelicytowali, gdyż wiem że koniecznie pragną nabyć Lizardière.

— Pan Désormes nie uczyniłby nic podobnego, możesz być pewny.

— Co bądź się stanie, dziękuję ci z całego serca, kuzynie, i zawsze wdzięcznym pozostanę.

— A licho mi tam potem! najgorzej że mógłbym się spóźnić. Do Baugé jest dziesięć mil drogi, a licytacya naznaczona na południe.

— Ależ, Leopoldzie, rzekła łagodnie hrabina, wyj echawszy o siódmej...

— Mogę zajechać na dziesiątą. Ale najpierw, chcę przyjechawszy zjeść śniadanie; a potem trzeba pamiętać, że przecież oś może się złamać, koń potknąć się i wyrzucić mnie w rów, i licho wie co wypaść jeszcze... Całą noc spać chyba nie będę. Oto mi dopiero kochany kuzynek narobił kłopotu... Ale mniejsza o to, uściskaj mnie, Janku i idź spać — jeźli potrafisz.

Hrabia w rzeczywistości nie spał prawie wcale i zerwał się przed świtem aby pobudzić fermierów, służbę, ekonoma i psów nawet. Skoro on był niespokojny i nie spał, wszyscy powinni byli podzielać jego niepokój i nie myśleć nawet o spaniu.

VIII.

Licytacya.

Nazajutrz w południe Krystyna zauważyła że Jan był smutny i nie tak gorliwie jak poprzednich dni zajęty swoją pracą — nic dziwnego, myślał o licytacyi Lizardière. Ponieważ nie było hrabiego umiejącego rozweselać młodego kuzyna swojem szorstkiem ale życzliwem gderaniem, postanowiła sobie probować rozerwać go i pocieszyć.

Była to kobieta tak nieograniczenie dobra, że widząc kogoś smutnym cierpiała jak gdyby ją osobiście jakieś dotknęło nieszczęście. Niekiedy jednak naśladując system męża, domieszywała do słów pociechy małą dawkę ironii lub kostyczności.

Od kilku chwil wpatrywała się w kuzyna, zajętego wykończaniem szkicu swego polowania na dzika.

— Wiesz kuzynie, nie jestem dziś zadowolniona ze swego malarza. Widzę tam oto jakiś dąb wyglądający tak jakby się gniewał że nie jest klonem. Ruysdaël nie jest dziś w usposobieniu. Porzuć ołówki i pendzle i chodź ze mną i z Marylką przejść się po lesie; przypatrzysz się prawdziwym dębom i jutro lepiej je odtworzysz.

— Masz słuszność, kuzynko, dziś nic dobrze nie zrobię, chodźmy do lasu.

Wyszli, idąc to prędzej to wolniej, stosując się do Marylki. W głębi lasu spotkali olbrzymi dąb, liczący pewnie pareset lat.

— Patrz, Janie, oto masz dąb prawdziwy, przypatrz mu się tylko. Jest on arystokratą, ale i walczyć umie. Jako arystokrata jest on niewygodnym sąsiadem, czego dowodem że pozbył się wszystkich. Już z tuzin buków i kasztanów pozbawił życia, nie chcąc ich mieć blizko siebie. Nawet przyległemu polu ciężko daje się we znaki, gdyż zapuszcza w nie ogromne korzenie które rozdzierając grunt, wyłaniają się z niego jak potworne węże. Potępiam go za tak przesadzoną arystokracyę, ale przebaczam i uwielbiam za to że umie walczyć. Wicher złamał mu dziesięć gałęzi, drugie tyle piorun strzaskał i poczernił, ale bronił się jak bronią się silni, wznosząc się coraz wyżéj i rozszerzając. Uschłe gałęzie zastąpił młodszemi i żywotniejszemi, które młodością swoją podsycają szanowną jego starość... bo jest szanownym, jakim ty kuzynie nie jesteś i nie staniesz się nigdy, jeśli i nadal pozostaniesz tylko arystokratą a nie nauczysz się walczyć jak on.

Mówiła to łagodnie, nawet z uśmiechem, a przecież w głosie jej było coś nakazującego uwagę.

— Dla czego mówisz, kuzynko że jestem arystokratą ale nie umiem walczyć?

— Jesteś arystokratą ponieważ ukochałeś ziemię swoją, przeszłość i wspomnienia, ale nie umiesz walczyć ponieważ nic nie przedsiebierzesz w ich obronie, ponieważ nie starasz się naprawić szczerby i opłakujesz zeschłych gałęzi, zamiast starać się wytworzyć nowe. I oto dla czego nie podoba mi się dąb który zacząłeś malować w twojem polowaniu.

— Ależ, kuzynko, przecież już od dwóch dni jestem ci posłuszny i pracuję, a więc uczę się walczyć.

— To też wdzięczną ci jestem za to, a jeźli wytrwasz, uznam cię godnym poszanowania, bo można stać się nim w każdym zarówno wieku, tak w lat dwadzieścia kilka jak i w siedmdziesiąt, bo poszanowanie budzą podjęte a wytrwale pokonane przez nas trudności i zapory. Skończyłam kazanie mój kuzynie.

(D. c. n.)

PANI TEODORA.

przez

Panią Klementynę Helm.

Przekład z niemieckiego.

przez

K. P.

(Dalszy ciąg.)

V.

Ciotka Polusia.

W kilka dni później, o zmroku, przed drzwiami domu w którym mieszkała pani Kleist, zatrzymał się fiakr napełniony tak wielką ilością pudeł zawiniątek i koszyków, że trudno było przypuścić aby wśród nich znajdowała się jeszcze jakaś żyjąca istota. Furman nie miał z początku ochoty zsiąść z kozła i otworzyć drzwiczek, i dopiero po paru minutach daremnego oczekiwania,oddał tę przysługę swej pasażerce, mrucząc coś niewyraźnie. W tejże chwili pakunki zaczęły się poruszać, i po nad niemi ukazała się twarz pełna i rumiana.

— Proszę was, wyjmijcie najprzód te pakunki które nie dozwalają mi wysiąść, odezwał się miły głos kobiecy.

Podróżna mówiąc to podała mu parę zawiniątek i pudełek, które on z najzimniejszą krwią rzucił na chodnik, potem ściągnął na ziemię stojący przy nim na koźle kuferek, i nie mówiąc ani słowa usiadł na swojem miejscu.

— Cóż ty robisz, zawołała zdziwiona passażerka; a któż to wniesie za mną na schody?

— A niech wnosi kto chce, byle tylko nie ja, odpowiedział gburowato furman.

Spoglądał co chwila mrucząc na zegarek, i nie zwracał wcale uwagi na przełożenia podróżnéj, nie wiedzącej co ma zrobić z rzeczami leżącemi na ulicy. Nagle spostrzegła ulicznika przypatrującego się tej scenie.

— Chodź tu, chłopcze, zawołała; jeźli chcesz zarobić srebrny grosz to pomóż mi zanieść te pakunki.

— Jeden, za mało! za dwa to namyśliłbym się może, odpowiedział nie ruszając się z miejsca chłopak.

Podrożna osłupiała ze zdumienia, nie byłaby zdolna wyrazić słowami pogardy, oburzenia i gniewu malującego się w tej chwili na jej twarzy zwykle wesołej i łagodnej.

— Więc to tacy w stolicy mieszkają ludzie! zawołała nakoniec, i odwracając się z pogardą od furmana i chłopaka, wzięła już w ręce dwa koszyki i pół tuzina paczek, gdy świeży głosik odezwał się za nią?

— Może pani pozwoli żebym jej dopomogła?

Te słowa wychodziły z ust znanej już nam Gryzeli, a ten niespodziewany dowód grzeczności rozpogodził czoło podróżnej. Nieszczęściem trzeba jeszcze było zapłacić za fiakra.

— Ile ci się należy? zapytała furmana.

— Dwanaście srebrnych groszy za czterdzieści dwie minut jazdy, pięć za kuferek, pięć za czekanie na stacyi i pięć za to co tu stoję, razem dwadzieścia siedm srebrnych groszy.

Z oczu podróżnej posypały się iskry, ale nie mówiąc ani słowa, położyła na koźle talara.

— Nie mam drobnych, odpowiedział furman wzruszając ramionami.

— A więc weź talara i jedź z nim na dno piekła, odpowiedziała przywiedziona do ostateczności.

Sługa publiczności, nie zważając na to życzenie, schował talara, zaciął konie i odjechał.

— A! moja droga, to wasze miasto gorsze jeszcze od Sodomy i Gomory! zawołała podróżna w parę minut później witając się z panią Kleist. Cóż to za ludzie! Jak możesz żyć między nimi? Baranek w takiem otoczeniu, uczułby w sobie poniejakim czasie tygrysie skłonności. O! niegodziwcy!

Panna Apolonia Frohreich, zwana przez wszystkich krewnych ciotką Polusią, była jedną z najlepszych i najszczęśliwszych istot na świecie. Zdawała się rozsiewać koło siebie wesołość i ożywienie, bo w jej towarzystwie nie można było pozostawać długo smutnym i bezczynnem. Nie miała wcale nieprzyjaciół, bo któż mógłby żywić w sercu nieprzyjazne uczucia dla osoby życzliwej dla wszystkich. Zachodziły pewne wątpliwości co do jej wieku, a jakkolwiek osoby znające ją dawno utrzymywały że ma przeszło czterdzieści lat, to patrząc na jej twarz rumianą, czarne, żywe oczy, zadarty nosek i małe usta, z których wychodziły tylko pełne szczerej serdeczności słowa, trudno było jej nie polubić, i pytać jak długo już trwa ta jej młodość tak wesoła i przyjemna.

Ciotka Polusia była wybornym doradcą matek i dzieci, opiekuńczym duchem rodzin dotkniętych chorobą, pocieszycielką w dniach smutku, od którego nawet najszczęśliwsi nie są zupełnie wolni. Zawsze czynna a nigdy nie utrudzona, poświęcała chętnie czas na przysługi oddawane swej familii, jak się wyrażała, familii bardzo licznej, a ktorej koło powiększało się jeszcze ciągle dzięki jej niezmordowanej uprzejmości. Do tego jednak nie przyznawała się nigdy, że niekiedy dla tej swojej rodziny oddawała pokryjomu część swych szczupłych dochodów. Jak widzimy pani von Kleist mogła powinszować sobie że zdołała uzyskać pomoc osoby tak doświadczonej i dobrej.

— Teodora jest moją chrzestną córką, i potrzebuje teraz mojej rady, odpowiadała tym którzy jednocześnie wzywali jej do siebie, do których inaczej pośpieszyłaby chętnie, pomimo że nie okazywali jej należnych względów w zamian za jej poświęcenie. U pani Kleist przynajmniej przyjęto ją z pełną wdzięczności radością.

Zaraz po jej przybyciu, zaszła nagła zmiana w mieszkaniu pani radczyni, w którym dotąd literatura i sztuki piękne panowały wszechwładnie. Pani Kleist zbyt dobrze znała kuzynkę i zbyt jej ufała aby mogła sprzeciwiać jej się w czemkolwiek, nawet gdy czyniła coś sprzeciwiającego się jej nawyknieniom. Teodora ofiarowała jej wprawdzie swą pomoc w zajęciach dotyczących wyprawy, ale ciotka oświadczyła wkrótce że zamiast pomagać przeszkadza jej tylko.

— Idź kochanko do swych stalug lub do fortepianu, tam będziesz w swoim żywiole, rzekła głaszcząc Teodorę po twarzy, a co do wyprawy spuść się na mnie, zaręczam ci że wszystko będzie dobrze zrobione, a wiesz że można spuścić się na moje słowo.

Jednak ciotka Polusia miała pomocnicę zdolną ją zrozumieć i spełnić jej polecenia, w ładnej Gryzeli, która już zyskała jej serce wybawiając z kłopotu gdy przybyła do pani Kleist. W szerokich niebieskich fartuchach, z zawiniętemi do łokcia rękawami, przedstawiały obie wzór wesołej pracowitości.

— Czy mama nie wie co teraz robi ciocia Polusia? zapytała raz Teodora, kładąc na chwilę pendzel. Nie pojmuję jak można znajdować przyjemność w zajmowaniu się tylu niepotrzebnemi rzeczami, bez których obchodziliśmy się dotąd. Wszak prawda, mamo, że nasze gospodarstwo szło bardzo dobrze bez tych wszystkich zabiegów.

— No! nie zupełnie, odpowiedziała matka, z uśmiechem. Nie raz dawał mi się czuć brak wygód prawie niezbędnych w moim wieku, a których przyjemność dała mi teraz poznać ciotka Polusia.

Rzeczywiście poczciwa ciocia zajęła się gorliwie całem gospodarstwem, i trzeba było podziwiać cudowne zmiany które w krótkim czasie potrafiła zaprowadzić w domu. Przedewszystkiem zapewniła sobie stałą pomoc Gryzeli, pozostawiając Merkuremu obowiązki posłańca. Tym sposobem obiad który przynoszono przed tem z restauracyi, mógł być teraz przyrządzony w domu, i nawet Teodora, pomimo swej obojętności pod tym względem, musiała przyznać że siada do stołu z większą przyjemnością jak dawniej. Do śniadania nie zabrakło już nigdy cukru lub masła, a co było jeszcze pożądańszem, nie tracono czasu na szukanie różnych rzeczy, gdyż w szafach panował wzorowy porządek. Dywany i meble zyskały także tak wiele na tej zmianie rządu, że Fryderyk mógłby teraz bezpiecznie bawić się jak piłką poduszkami z kanapy.

— Zabiorę cię do siebie, ciotuniu, i powierzę ci rządy mego domu, rzekła raz Teodora, niepokojona ciągle tą myślą, że będzie musiała wkrótce sama myśleć o wszystkiem i zajmować się gospodarstwem.

— I owszem, przyjadę chętnie do ciebie, skoro znajdę kilka dni wolnych, ale musisz przedtem wyzwolić się o własnych siłach na gospodynię domu.

— W takim razie, ciociu, napełnij moją głowę umiejętnością kucharską, gdyż obecnie tyle się znam na kuchni co mój kanarek, odpowiedziała z westchnieniem Teodora. Powinnabym jednak powziąć wyobrażenie o czekających mnie obowiązkach, skoro do mego ślubu pozostaje już zaledwie trzy tygodnie.

— Jeżeli życzysz sobie tego, moje dziecko, rzekła ciotka Polusia z widocznem powątpiewaniem, to chętnie będę cię uczyć, ale, jeźli mam powiedzieć prawdę to nie wiele liczę na twoją wytrwałość. Wierz mi że dobra wola i konieczność są najlepszymi nauczycielami.

Teodora wiedziona godną pochwały chęcią obznajmienia się ze sztuką kucharską, zaczęła jej się uczyć od ciotki Polusi, ale tak nauczycielka jak uczennica nie umiały wywiązać się ze swego zadania. Poczciwa ciocia nie posiadała daru nauczania, a prócz tego jako oszczędna gospodyni, nie miała odwagi powierzyć drogo płaconych przedmiotów żywności nieumiejętnym rękom, i z tego powodu, Teodora patrząc tylko na ciotkę przyrządzającą potrawy nic się nie nauczyła. Tak w tem jak i w każdem innem zajęciu, wprawa i doświadczenie są rzeczą niezbędną.

Zniechęcona tym niepowodzeniem, Teodora wyrzekła się wkrótce nauki tak trudnej i nie miłej dla niej. Jedyną korzyścią jaką odniosła z tej próby, było przeświadczenie że gospodarstwo powinno być prowadzone inaczej jak było w domu jej matki. Ale wszak znała tyle młodych gospodyń, posiadających mniejsze niż ona zdolności, a jednak wywiązujących się łatwo z tego zadania, dlaczegóż więc dla niej miałoby przedstawiać tak wielkie trudności? Zresztą i to także ją uspakajało, że z początku będzie mieć u siebie Gryzelę, a czegóż mogła się obawiać mając zapewnioną pomoc tak zdolnego ministra spraw wewnętrznych.

Jednak zajęcia gospodarskie były tylko podrzędną rzeczą dla ciotki Polusi, głównym celem jej myśli była wyprawa. Teodora podziwiała jej gorliwość, gdy stojąc z nożycami w ręku wśród stosów płótna wydawała rozkazy szwaczkom, bacząc na to pilnie aby wykonywały je sumiennie, bez najmniejszej zmiany.

Nigdzie jednak niepospolite zdolności ciotki Polusi nie przedstawiały się tak świetnie jak w sklepach, do których wybiegała po kilka razy na dzień. Tu dopiero można było powziąść wyobrażenie jak jest przezorną, jak się zna na wszystkiem i jak się umie targować. Z początku Teodora towarzyszyła ciotce, ale ta widząc jej obojętność i niechęć do targowania się, w którem widziała wyraźny dowód braku wiary w uczciwość sprzedającego, oświadczyła że woli sama zająć się wyborem i zakupieniem potrzebnych towarów.

— Kosztowna to rzecz być szlachcicem, powtarzała często ciotka Polusia; otóż musimy wyznać że pomimo licznych dowodów szlachetności jej duszy, nie mogła uchodzić w sklepach za szlachetnie urodzoną osobę. Dla oszczędzenia kilku fenigów, biegała od sklepu do sklepu, kazała sobie pokazywać mnóstwo towarów, z których nie kupiła ani łokcia, tylko brała mnóstwo próbek, dla porównania ich z pochodzącemi z innych sklepów. Ale jakąż dumą napełniała ją w końcu ta pewność że nie podobna było kupić coś taniej jak ona kupiła, z jaką przyjemnością opisywała podstępność kupców i swoją przezorność niweczącą ich zamiary. Radość jej tem niezrozumialszą była dla Teodory, że obojętnie patrzyła na te wszystkie piękne rzeczy zgromadzone dla niej.

— Chodź, przypatrz się, moje dziecko, rzekła ciotka Polusia po jednej z takich wycieczek, odbierając od Gryzeli mnóstwo pak i paczek. Czy widziałaś kiedy piękniejsze płótno? Zobacz tylko jakie cienkie, równe, gęste! A cóż powiesz na to? jest to wprawdzie wyrób bawełniany, ale tak mocny że zostawisz go jeszcze twym wnukom. Teraz spojrzyj na tę holenderską stołową bieliznę; czy możnaby znaleźć piękniejszy deseń? zdaje się że te kwiaty odstają od tła! Co do firanek, piękność deseniu i haftu nie pozostawia już nic do życzenia.

Jakkolwiek ani Teodora ani jej matka nie podzielały zachwytu poczciwej ciotki Polusi, nie szczędziły jej jednak pochwał, i obsypywały podziękowaniami, które przyjmowała z prawdziwą przyjemnością.

Po ukończeniu sprawunków, obszerny salon pani Kleist został zamieniony w szwalnię w której robotnice szyły pilnie od rana do wieczora, pod dozorem ciotki Polusi, nie wypuszczającej prawie z rąk nożyczek lub łokcia. Jeźli Teodory zapytywano jak sobie życzy mieć coś uszyte, zostawiała to do woli ciotki, zadając sobie pytanie: jak to być może aby osoby rozsądne przywiązywały jakąś ważność do szerszych lub węższych zakładek u koszuli albo do formy kaftanika, i zadawały sobie tyle trudu dla nagromadzenia więcej bielizny niż ktoś może zużytkować. Ale panna Apolonia nie tylko że nie uskarżała się na utrudzenie, ale korzystała z prawdziwą rozkoszą z możności napełnienia paru wielkich szaf bielizną, którą, jako prawdziwa Niemka, uważała za główną podstawę szczęścia kobiety nie wyrzekającej się cnót właściwych płci swojej.

Nadszedł nareszcie dzień w którym ciotka Polusia ukończyła wyprawę Teodory, i związawszy ostatni tuzin serwet różową wstążką, spojrzała z dumą na skarby nagromadzone za jej staraniem. Potem otworzyła obie połowy drzwi, i wprowadziła narzeczonych i panią Kleist do pokoju w którym urządziła z nich wystawę. Poczciwa ciocia miała jedną słabostkę: lubiła urządzać sceny wywołujące wrażenie; więc i tę także obmyśliła już dawno i ułożyła sobie zawczasu treść przemowy do Teodory, w której z serdecznem uczuciem wyraziła jej życzenie, aby ta wyprawa tak bogata i starannie wykonana, była zadatkiem szczęścia i dobrobytu na całe jej życie. Nie umiemy powiedzieć czy ciotka Polusia posiadała dar wymowy, ale to pewna że jej przemówka wywołała wrażenie, uściski, szczere pochwały i podziękowania. Nawet Teodora patrząca dotąd obojętnem, prawie nieprzychylnem okiem na te wszystkie przygotowania, poczuła po raz pierwszy że każde, choćby najpospolitsze zajęcie ma swoją poetyczną stronę, jeźli je wykonywamy dla spełnienia obowiązku lub dla dobra innych. Przyszło jej także na myśl że znajduje się w położeniu wodza któremu wręczają klucze zdobytego miasta, pomimo że przybył na plac boju dopiero po otrzymanem zwycięztwie.

Z jakąż to dumą młoda narzeczona spogląda na wyprawę uszytą jej własną ręką, i którą niekiedy zawdzięcza po części swej własnej pracy i oszczędności. Zna dokładnie każdą cząstkę skarbu nabytego kosztem tylu trudów i zabiegów, i widzi w nim podstawę przyszłego dostatku. Teodora nie mogła doznawać podobnej dumy ani też radości, nie przyłożyła się niczem do nagromadzenia tych bogactw, i dlatego też nie umiała dobrze ocenić ich wartości.

VI.

Podstęp.

W ciągu tych przygotowań upłynęło lato, zbliżał się dzień ślubu, a Teodora nie znała jeszcze ani matki ani rodzeństwa Fryderyka. Pani Gahlen, osoba oszczędna, uważała podróże za niepotrzebny zbytek, spodziewano się jednak że przybędzie na ślub syna, i ta myśl napełniała serce Teodory radością i obawą. Fryderyk rachował także na przyjazd matki, ale go to niepokoiło że w listach z domu nie było o tem najlżejszej wzmianki. Z jakąż więc boleścią dowiedział się z listu Heleny, że matka nie będzie na jego ślubie, aby okazać tym sposobem że jest niezadowolnioną z jego wyboru.

„Ona powinna przyjechać do mnie, a nie ja do niej”, odpowiadała na prośby i przełożenia córek, pragnących uchronić brata od podobnej przykrości.

Fryderyk oburzony tą wiadomością, musiał usilnie pracować nad sobą aby nie zdradzić swego smutku przed narzeczoną, gdyż pocieszał się jeszcze nadzieją że potrafi wzruszyć matkę swemi prośbami. W kilka dni później przekonał się że go zawiodła i ta nadzieja, i rozmyślał właśnie nad tem w jaki sposób usprawiedliwi przed narzeczoną podobne postępowanie, gdy zapukano do drzwi.

— Wszak mogę wejść, panie profesorze? odezwała się uchylając drzwi, ciotka Polusia. Jadę do M..., aby tam urządzić przyszłe wasze mieszkanie, i przychodzę dowiedzieć się czy mi nie dasz jakiego polecenia... Co ci się stało, profesorze? zawołała gdy Fryderyk zwrócił się ku niej. Radabym wiedzieć co znaczy ten smutek tak niewłaściwy na twarzy narzeczonego?

Fryderyk usiłował z początku wmówić w nią że jej się to tylko zdawało, a w końcu wyznał jej szczerze powód swego smutku. Ciotka Polusia słuchała go wstrząsając głową. Było to dla niej rzeczą niezrozumiałą aby można dobrowolnie sprawić przykrość komukolwiek, a tem więcej własnemu dziecku. Prosiła aby nie wspominał o tem Teodorze, gdyż pragnie spróbować jeszcze czy jej się nie uda rozczulić pani Gahlen. Fryderyk był prawie pewnym że jej się to nie powiedzie, ale przystał na jej żądanie, bo nie śpieszno mu było podzielić się z narzeczoną tak niemiłą wiadomością.

Tegoż samego dnia powóz najęty unosił ze stacyi M... do przyszłego mieszkania młodej pary, ciotkę Polusię i nieodstępną jej towarzyszkę Gryzelę, przytłoczone prawie mnóstwem pakunków. Za niemi jechało parę wozów naładowanych kuframi i meblami, które zaledwie można było pomieścić w małym domku. Osoby mniej energiczne przeraziłby ten nawał czekającej ich pracy, gdy tymczasem one tak gorliwie zabrały się do niej że w krótkim czasie pokoje były umeblowane, rzeczy w szafach poukładane, kuchnia aż się lśniła od nowiutkiej miedzi i innych sprzętów kuchennych. Na uwieńczenie dzieła ciotka Polusia pozawieszała gierlandy, poustawiała bukiety nie tylko w pokojach ale nawet w kuchni i pralni.

— To tak zdobi, tak mile wpada w oczy, mówiła do Gryzeli nie mogącej nastarczyć jej kwiatów. Wiem że te wieńce poschną zanim przybędzie tu nasza młoda para, ale znajdą w tem zawsze dowód naszej pamięci i szczerego przywiązania.

Ciotka Polusia posiadała przywilej którego można jej było pozazdrościć, dosyć jej było wejść do czyjegoś domu aby polubić jego mieszkańców i pozyskać sobie ich życzliwość; dlatego też nikt nie mógł być zdolniejszym od niej do przełamania lodów otaczających serce matki Fryderyka. Te panie porozumiały się od pierwszego widzenia, i zamieniły z sobą mnóstwo przepisów i anegdotek; można było sądzić że się znają od dwudziestu lat. Musimy tu nadmienić, że gdy szło o tryumf dobrej sprawy, ciotka Polusia nie wahała się korzystać z ludzkich słabostek, dlatego też nie ominęła żadnej sposobności pokazania jakiegoś kosztownego i pięknego przedmiotu z zostającej pod jej opieką wyprawy, i tym sposobem zdołała wyrobić korzystniejsze wyobrażenie o swej chrzestnej córce, w tej duszy surowej, ale nie lekceważącej dóbr tego świata. Na nieszczęście przedsięwzięte przez nią zadanie nie okazało się tak łatwe do spełnienia jak pozyskanie życzliwości rodziny Gahlen'ów. Napróżno poczciwa ciocia narażała świeżą swą cerę na działanie ognia, dopomagając do smażenia konfitur, napróżno oddychała przez cały dzień wyziewami z roztopionego mydła, przy półrocznem praniu; jak tylko dotknęła drażliwego przedmiotu, pani Gahlen oddalała się pod jakimbądź pozorem, pozostawiając ciotkę Polusię strapioną takiem niepowodzeniem.

Niezrażona trudnościami, ofiarowała znów swą pomoc przy składaniu bielizny, czynności w której brały udział wszystkie kobiety w domu, i w ciągu której spodziewała się dojść do upragnionego celu. Jednak i teraz zaczęła już tracić nadzieję; pani Gahlen umiała niweczyć najlepiej osnute plany.

(D. c. n.)

Opis do N-ru 23.

(Dokończenie.)

N. 31. Rozeta z materyi w dwóch cieniach. Patrz r. 27 w N-rze 22.

Potrzeba na nią dwóch skośnych kawałków materyi, po 85 cent. długich a 8 szerokich, złożonych wzdłuż we dwoje i zmarszczonych na mocną nitkę. Po zmarszczeniu skosy te układają się w rozetę na podstawie tiulowej 7 c. średnicy, podług r. 31.

N. 33. Sukieneczka wycięta dla małej dziewczynki. Krój na arkuszu N. IV, fig. 19—21.

Fig. 19—20 dają formę podszewki, na której linią prostą oznaczone jest miejsce naszycia 3 cent. szerokich plis, między którémi materyał zwierzchni założony jest w kontrafałdę 4 cent. szeroką. Spódniczka 18 cent. długa, ułożona jest w kontrafałdy, naszyte patkami po 4 c. szerokiemi a 11 długiemi. Szarfa liczy 17 c. szerokości a 142 długości. Przy sukience z niebieskiego kaszmiru pliski dane z aksamitu ciemniejszego lub z materyi, wyszyte jedwabiem.

N. 34. Ubranie dla chłopczyka lat 5—6. Krój jak do ryc. 16—17 w N-rze 22.

Bluza i majteczki krają się podług powyżej wskazanego kroju z płócienka w drobne paski, naddając na szerokość w majteczkach ściąganych na elastykę u dołu. Długość bluzy obciśniętej paskiem musi być zastosowaną podług wzrostu. Kołnierz wykładany płócienny, związany krawatką jedwabną; pasek skórzany; pończochy kolorowe i półbuciki.

N. 35. Ubranie marynarskie dla chłopca lat 7—9. Krój jak do ryc. 18 w N-rze 22.

Podług powyżej wskazanego kroju przody krają się w jednym ciągu, gdyż bluza marynarska nie zapina się nigdzie lecz kładzie przez głowę; u dołu ściągnięta jest na elastykę. Wykrój szyi przedłuża się znacznie, jak to widać na ryc. 35, i dopełniony jest szalowym kołnierzym, który trzeba starannie dopasować. Zamiast kamizelki widać koszulkę trykotową, gładką lub w paski, którą odznaczyć można przez naszycie kawałka trykotowege na staniku spodnim (patrz ryc. 16 w N. 22). Na głowie czapeczka Jersy sukienna z pomponem jedwabnym.

N. 36. Sukienka princesse, dla dziewczynki lat 7—9.

Długi stanik dopełniony jest u dołu plisowaną spódniczką, której przyszycie zakrywa szeroka fałdowana szarfa. Do sukienki z cienkiego wełnianego materyału na plastron, kołnierz i mankiety użyta materya jedwabna lub wełnia: a deseniowa. Guziczki dane z boków plastronu.

N. 37. Sukieneczka aksamitna, dla dziecka lat 2—4.

Uszyta formą princesse, ozdobiona jest w około brzegów szeroką koronką, naszytą gładko; im koronka jest grubszą tym ładniej odbija przy aksamicie, można ją zastąpić robotą szydełkową, lub haftem maszynowym.

N. 38. Sukieneczka wycięta, dla małego dziecka.

Staniczek od białej batystowej sukienki jest cały złożony w drobne zakładki; kwadratowy wykrój szyi wszyty w karczek haftowany, rękawki z takiegoż haftu. Zszycie spódniczki zakończonej haftem u dołu ze staniczkiem, przykrywa szarfa jedwabna; na ramionach kokardy z odpowiedniej wstążki.

Opis do N-ru 24.

N. 1 i ryc. 10 w N. 25. Ubranie spacerowe z płaszczykiem z peleryną.

Krój płaszczyka podług formy do ryc. 21 i 22 w N. 14 Tygodnika Mód. Płaszczyk i suknia zrobione były z jednakowego cienkiego, wełnianego dyjagonalu rezedowego w dwóch cieniach, których użycie wskazane jest na ryc. 1 i ryc. 10 w N. 25. Guziki metalowe, rozety ze wstążki atłasowej.

N. 2. Ubranie spacerowe z krotką draperyą.

Do przybrania sukien kretonowych a nawet do lżejszych letnich materyałów, aksamit jest używany zarówno jak do materyałów wełnianych lub jedwabnych. Model sukni odrobiony był z kaszmiru w kolorze żółtawej skóry (sandale) a ubrany aksamitem ciemno kawowym; krótką draperyę z przodu ułożoną z brytów prostych, dopełnia z tyłu bryt bufiasto upięty. Stanik zdobi chusteczka z żółtawego gipiurowego haftu, z tyłu w róg spiczasty zaszyta, której dłuższy 11 cent. szeroki koniec zwierzchni, przykrywa zapięcie przodów.

N. 3—4. Kapelusz dla chłopczyka.

Oryginalny kapelusz z szerokim rondem, pleciony w kratę kolorową ze słomy, ma rondo do połowy podszyte aksamitem, a ubrany jest wstążką w trzech kolorach 5—6 cent. szeroką, upiętą w pukle i ułożoną w rozety z końców jakie podaliśmy na ryc. 30 w N. 23.



N. 1 i ryc. 10 w N. 25. Ubranie spacerowe z płaszczykiem z peleryną. Krój płaszczyka podług formy do ryc. 21—22 w N. 14 Tygodnika Mód.

N. 2. Ubranie spacerowe z krótką draperyą.

N. 5. Kapelusz dla małej dziewczynki.

Główka słomkowego kapelusza, jest gładko opasana 7 cent. szeroką, kremową atłasową wstążką, z której z jednego boku upięte 12 pukli 8 cent. długich i spuszczone dwa długie końce, wysiepane i na kwasty przewiązane u dołu. Spód ronda podszyty atłasem ciemno ponsowym.

N. 6—8. Spódnica do sukni z upiętą draperyą.

Ryc. 6 i 7 przedstawia plisowaną spódnicę do sukni z jedwabnego bastu, do której model i miary draperyi, dajemy na ryc. 8, bryt przedni *a* fałduje się z jednej strony do 19, z drugiej do 85 cent. długości. Do krótko sfałdowanej strony dodaje się bryt *b*, w górze w potrójną kontrafałdę złożony, i luźno spuszczony, od dołu w górę podwinięty, sfałdowany i przy rozporku przyszyty; z brytów *c* i *d* upięte są z tyłu bufy, widoczne na ryc. 6 i 7, z boku dodane pukle i długie końce ze wstążki atłasowej, 12 cent. szerokiej.

N. 9—10. Suknia z paskiem bawetowym. Model i miary draperyi na ryc. 11.

Przy sukni z ciemno szafirowego, miękkiego perkalu, przód spódnicy pokrywają dwa, a tył jedno szerokie plisowanie. Draperyę upina się z jednego bryta, mającego 335 cent. długości a 125 szerokości. Na modelu draperya była z perkalu w rzut ponsowy. Na ryc. 11 dajemy model i miary draperyi; 1—70 c. oznacza połowę przodu a od 70 do 265 całą tylną draperyę; górny brzeg przodu trzeba podług znaków w. kontrafałdy ułożyć drugi raz niżej na bufkę, na biodrach przefałdować, a boki wysoko w fałdy podpiąć. Tylną część draperyi w górze od dwukropka do dwukropka w róg zaszyć, dalej od krzyżyka do dwukropka w pukiel złożyć; pozostały materyał upiąć zręcznie podług znaków; brzeg dolny i boczny do spódnicy przyszyć, tylko róg od gwiazdki do gwiazdki luźno spuścić. Spódnicę ze stanikiem łączy pasek z bawetem, ciemno szafirowy aksamitny, mający 13 cent. środkowej szerokości, którego brzegi tylne 11 cent. szerokie, rozchodzą się skośnie do dołu. Kołnierz duży, wykładany, aksamitny, podgarnirowany 8 cent. szeroką koronką „ficelle“.

N. 16. Stanik z przybraniem szmizetkowem.

Na gładkim staniku od sukni z materyału gładkiego i w kratę, dane jest przybranie z dwóch skosów 36 cent. szerokich, które w górze składają się w cztery głębokie fałdy i wszywają pod kołnierzykiem, idą wzdłuż przodów 7 c. szeroko, przy spięciu stanika na guziczki, na wcięciu w pasie są przemarszczone, w końcach luźno puszczone. Mankiety aksamitne, takiż kołnierz i pasek zapięty pod rozetą z tego co suknia materyału.

N. 17. Stanik z kamizelką i z kołnierzem fałdowanym.

Do przodów stanika dodana jest kamizelka w rzucik różnokolorowy, na której stanik zapina się tylko w górnej części, dalej rozchodzi się skośnie szeroko do dołu, gdzie ścięty jest w spiczaste 6 cent. długie rogi. Do podwójnego, wykładanego, 75 c. długiego kołnierza, dodaje się w końcach potrzebną ilość materyału, na cztery fałdy, idące z obydwóch stron przy spięciu staniku. W środku dodany żabot z koronki 6 cent. szerokiej.

N. 18 i ryc. 11 i 48 w N. 25. Suknia z przemarszczaną kamizelką.

Przy sukni z zefiru w kratę bronzową na tle miedzianego koloru, część przemarszczana kamizelkowa była z miedzianej surah a kołnierz z bronzowego aksamitu. Część kamizelkową robi się na gładkiej podszewce, wszytej między boczne szwy stanika, w górze przemarszcza się na 1 cent. a na wcięciu w pasie 5 cent. szeroko, o i dołu spuszcza w bufę 14 c. długą. Przody otwarte i luźno puszczone, podszywa się materyą i oszywa szlakiem żółtawym 7 c. szerokim, haftowanym w maszynie; u dołu dodaje się do boczków i przodów baskinę fałdowaną, 27 cent. długą. Baskinę przy pleckach, upina się w sposób wskazany na r. 18 z kawałka 48 cent. długiego, a 80 szerokiego. Do rękawów przyszyta od spodu bufka z surah, 6 cent. szeroka.



N. 3. Kapelusz dla chłopczyka. Przód na r. 4.

Spódnicę oszytą u dołu plisowaniem 4 cent. szerokiem, pokrywa garnirunek skośnie krajany, stanowiący w górze bufę 27 cent. szeroką, na 4 c. szerokości przemarszczaną, zakończoną wolantem w kontrafałdy układanym, 22 c. szerokim. Przednia draperya składa się z dwóch kawałków 250 c. szerokich, z których górny 30 cent. długi przyszywa się szwem odwracanym na spódnicy, a dolny oszyty drobnem, 10 cent. szerokiem plisowaniem stanowi wolant, boczne brzegi obydwóch są ściśle sfałdowane i między szwy spódnicy wpuszczone. W górze dodana jeszcze draperya szalowa 40 cent. szeroka. Bufiastą tylną draperyę upina się z bryta prostego.



N. 4. Kapelusz dla chłopczyka. Zobaczyć ubranie kapelusza na ryc. 3.

drat, dodany był w koło szlak pluszowy, 5 cent. szeroki. Brzegi oszyte grubym sznurem jedwabnym, w rogach dane rozety, układane z kolistych kawałków pluszu mających 20 c. średnicy.



N. 5. Kapelusz dla małej dziewczynki.

N. 27—30. Dywanik z włóczki smyrneńskiej. Robota na drutach z dodawaniem ciętych nitek włóczki.

Opis i próbki podobnej roboty podaliśmy już w N. 7 ryc. 11—14, dziś dodamy tylko niektóre objaśnienia. Potrójnie skręcana włóczka smyrneńska ma nitki dość sztywne i ostre, w robocie jednak układa się dobrze i łatwo; z powodu grubości włóczki nitki trzeba dłużej krająć niż z kastorowej albo hamburgskiej, a w robocie nitki około 5 c. długie przedzielać 1 o: pustem, ażeby włóczka miała się gdzie rozpostrzeć. Na jeden krzyżyk deseniu liczy się wzdłuż i wszerz dwie założone nitki, przedzielane 1 oczkiem pustem, które jednak nie tworzą kwadratów zupełnie równych, lecz trochę przedłużone, o czem przy dobieraniu deseniu trzeba pamiętać ponieważ dywanik składa się z oddzielnie robionych, z lewej strony spajanych pasów, więc deseń przedłuży się gdy pasy będą szły wzdłuż, a rozszerzy gdy dane będą wszerz. Włóczki takie znajdują się w handlu w dwóch cieniach pompejańskich czerwonych, dwóch bronzowo oliwkowych, dwóch niebieskawo pawiowych i dwóch ciemno drzewnego koloru, jako najwięcej na dywaniki smyreńskie używanych.

N. 19. Suknia z materyału z kolorowym szlakiem.

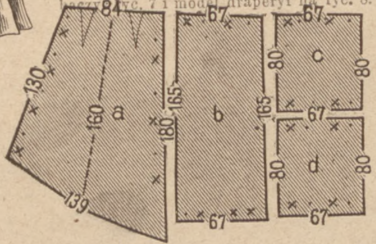
Model sukni odrobiony był z zefiru w kolorze ,,bleu hussard, z dodanym wzdłuż sztuki, 29 cent. szerokim, tureckim szlakiem, któren zdobi 75 cent. szerokie plisowanie spódnicy i draperyę ułożoną z jednego bryta 250 c. długiego a 75 szerokiego. Bryt, którego poprzeczne brzegi schodzą się z jednego boku, tworzy z przodu krótką fartuszkową tunikę, mocno podpiętą z boków, a z tyłu krótką draperyę ułożoną sposobem wskazanym na r. 19. Do przodów stanika opasanego paskiem 7 cent. szerokim, dodana jest szmizetka z żółtej surah, ułożona podług ryc. 16.



N. 6. Spódnica z draperyą, od sukni. Zobaczyć ryc. 7 i model draperyi na ryc. 8.



N. 7. Spódnica z draperyą. Zobaczyć ryc. 6 i model draperyi na ryc. 8.



N. 8. Model kroju i miary draperyi do ryc. 6—7.



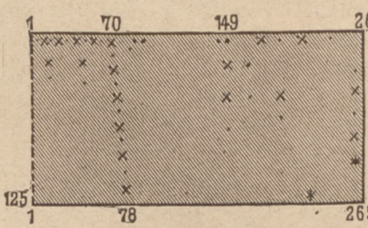
N. 9—10. Suknia z paskiem bawełnianym. Model i miary draperyi ryc. 11.



N. 12. Spódnica do sukni ryc. 7 w N. 25, ozdobiona haftem i koronką.



N. 13. Przód stanika paletocikowego do r. 8 w N. 25.



N. 11. Model draperyi do r. 9 i 10.



N. 15. Szlak do teki ryc. 35 i 36 w N. 25.

N. 33—34. Wachlarze spacerowe.



N. 16. Stanik z ubraniem szmizetkowem.

N. 20—21. Poduszka do kanapy. Robota krzyżowa.

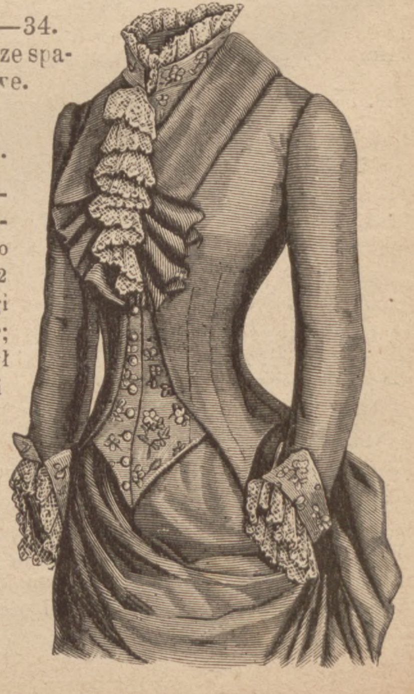
Na ryc. 21 dajemy $1/4$ część deseniu któren odrabia się na kanwie nicianej, włóczkami angielskiemi, ściegiem zwyczajnym krzyżowym. Oznaczone kolory włóczek powinny być starannie i gustownie dobrane, ażeby łagodnie łączyły się w całość. Na modelu do haftu trzymającego 40 c. w kwa-



N. 14. Lewa strona paletocika do r. 13 i 8 w N. 25. Zobaczyć garnirunek na r. 41.

N. 33. Wachlarz malowany.

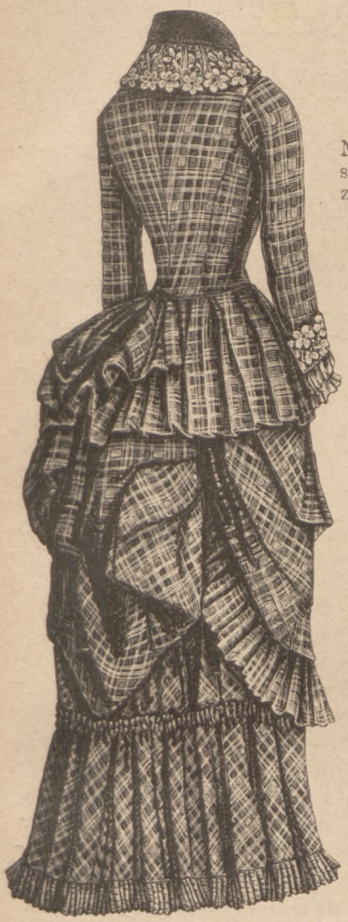
W atłas pawiego koloru pokrywający wachlarz, wstawiony był kawałek białego atłasu 25 c. szeroki a 12 wysoki, a z boku drugi mniejszy, koloru vieil-or; na nich odmalowany był gwaszowemi farbami mały obrazek, otoczony wieńcem z róż żółtych i liści niebieskawo zielonych, z konturami robionemi złotem.



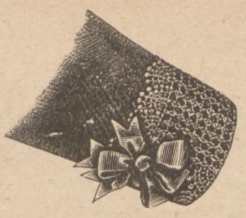
N. 17. Stanik z kamizelką i z kołnierzem fałdowanym.

N. 34. Wachlarz szeroko składany.

Do pięknego malowania lub

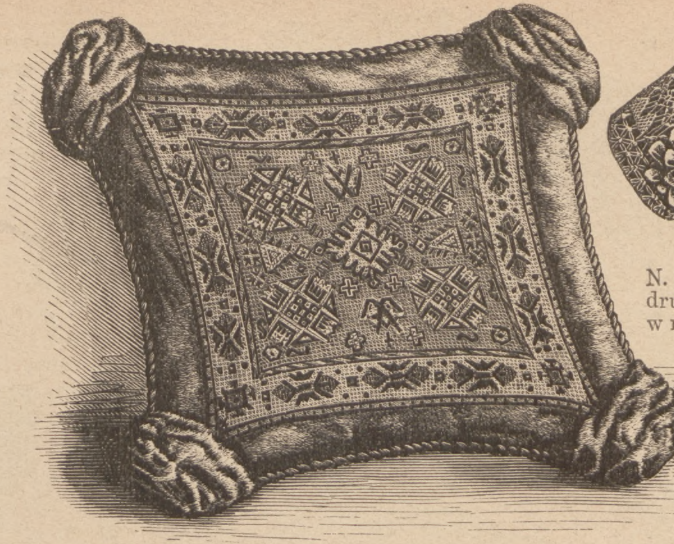


N. 18. Suknia z przemarszczaną kamizelką. Patrz ryc. 11 i 48 w N-rze 25.



N 22. Mankietek robotą szydełkową, ozdobiony rozetą ze wstążki. Próbka koronki szydełkowej na ryc. 26.

haftu niepraktyczne są wachlarze w wązkie fałdy składane, to też obecnie używane są do nich oprawy z szerszemi skrzydełkami, przy których fałdy mają 7—8 cent. szerokości. Oprawa do r. 34 była z czarnego drzewa ozdobionego inkrustacyą złotą i wyrzynaniem ażurowem.



N. 20. Poduszka do kanapy. Robota krzyżowa $^1/_4$ część deseniu



N. 23. Mankiet robiony na drutach. Próbka roboty w naturalnej wielkości na ryc. 25.

N. 35—36. Kapelusze do rannych spacerów lub ogrodowe.

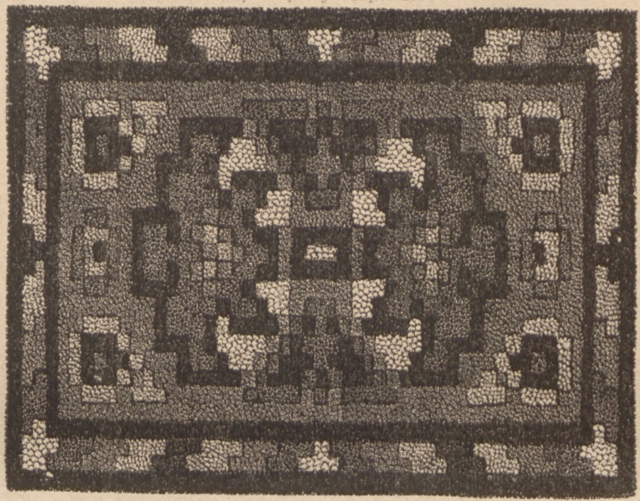
Ryc. 35 przedstawia kapelusz z dość grubej bronzowej słomy, ubrany aksamitką 3 cent. szeroką, tiulem grosbotowym i koronką nicianą 5 cent. szeroką, żółtawego koloru. Na ryc. 36 podajemy kapelusz ażurowy z cienkiej, płaskiej trzcinki, pod któren daje się kolorową podszewkę; główkę i brzeg ronda zdobi 4 c. szeroka pentelkowa torsadka, robiona z włóczki „crevel" i kręconego sznureczka w takim jak podszycie kolorze. Duże pompony włóczkowe, dopełniają ubranie; szarfy do wiązania z wstążki atłasowej.



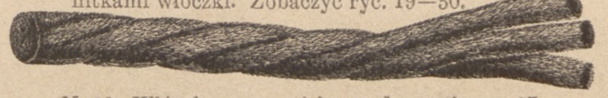
N. 24. Kołnierz stojący z koronki robionej na drutach, podług próbki ryc 25. Rozety z wązkiej wstążki lub aksamitki.



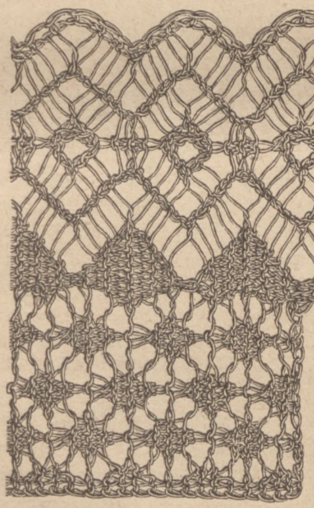
N. 19. Suknia z kolorowym szlakiem.



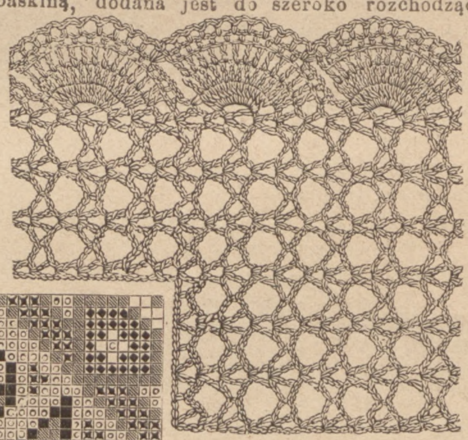
N. 27. Dywanik smyrneński. Robota na drutach z zakładanemi nitkami włóczki. Zobaczyć ryc. 19—30.



N. 28. Włóczka smyrneńska na dywanik ryc. 27.



N. 25. Koronka robiona na drutach do ryc. 23 i 24. Szerokość i grubość nici naturalna.



N. 26. Koronka szydełkowa na mankiet ryc. 23, na kołnierzyki stojące i t. p. Szerokość i grubość nici naturalna.

N. 37. Suknia ozdobiona rozetami z aksamitki.

Model sukni zrobiony był z materyału przezroczystego bawełnianego, naśladującego koronkę hiszpańską, na podwleczeniu kolorowej satynki lub batystu. Garnirunek stanowią wolanty koronkowe 10 cent. szerokie i rozety aksamitki lub wstążki atłasowej 3 c. szerokiej w kolorze podwleczenia. Draperyę szalową układa się z jednego długiego bryta. Stanik bawetowy z kołnierzem i ranwersami z aksamitu i ze szmizetką z koronki marszczonej naszytej w rzęły zachodzące jeden na drugi.

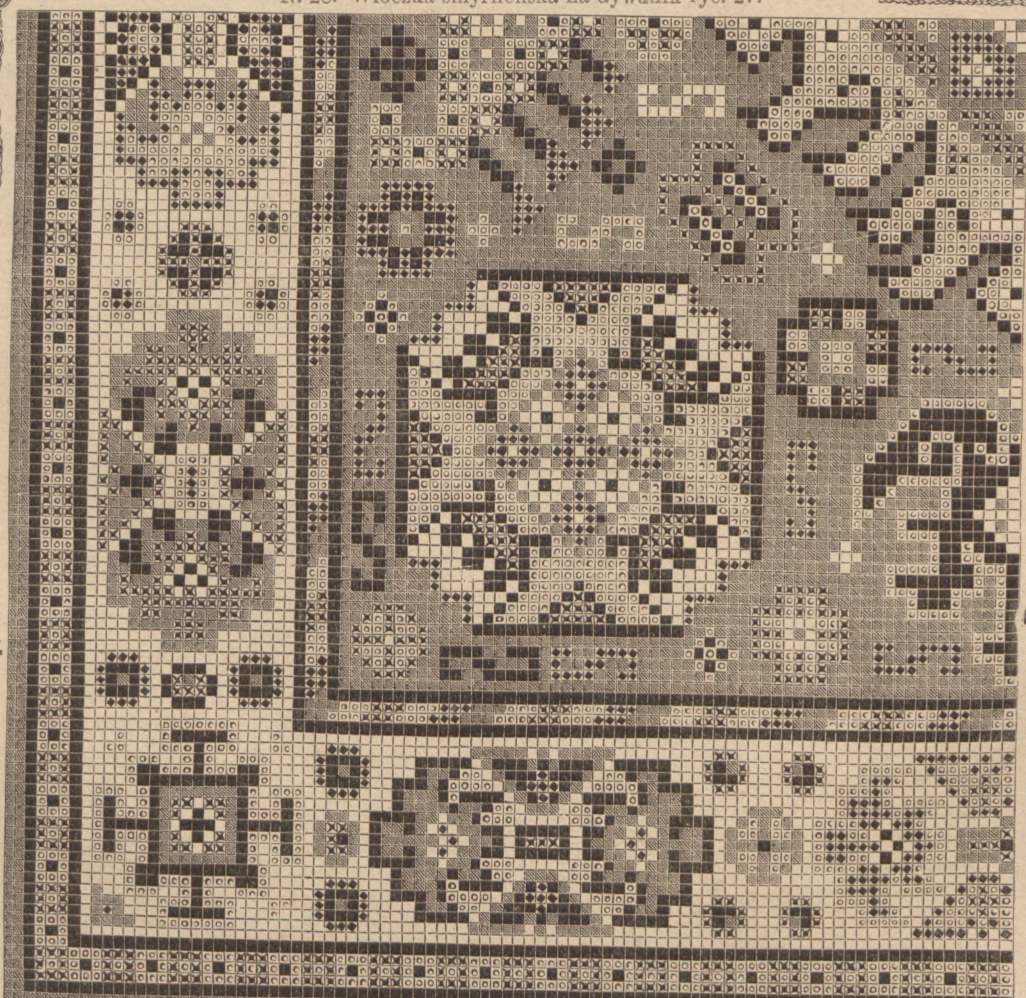
N. 38. Suknia ze stanikiem z kamizelką.

Suknię taką stanowiącą dystyngowane spacerowe ubranie, odrobić można z zefiru gładkiego i w kratę, z poult de laine albo z innego lekkiego a zarazem miękkiego materyału, z którego fałdy dobrze się układają. Draperyę z lewego boku upina się w sposób wskazany na r. 38, a z boku prawego, brzeg poprzeczny przyfałdowany wpuszcza się od połowy długości spodnicy, pomiędzy szew boczny. Do stanika z kołnierzem stojącym, wywiniętym i z gładką baskiną, dodana jest do szeroko rozchodzących się przodów, kamizelka z piki białej lub kremowej.

Opis do N. 25.

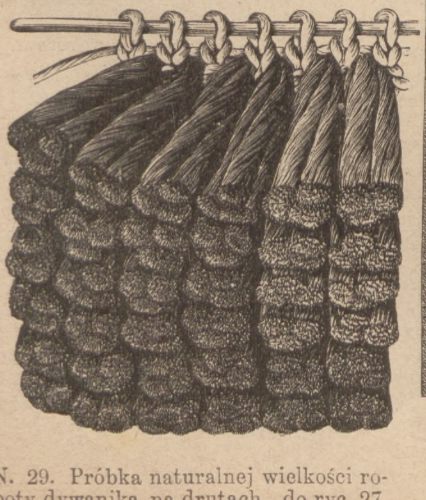
N. 1 i 6. Ubranie dla dziewczynki lat 6—8.

Wielkie pelerynowe kołnierze, gładkie lub plisowane, z tego co suknia

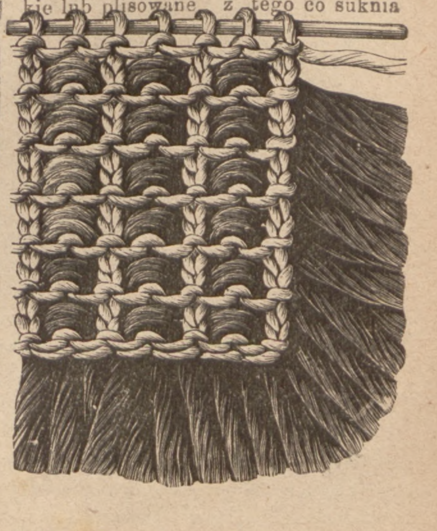


pawi ciemniejszy. — pawi jaśniejszy. — ciemny trawno zielony. — jaśniej. trawno zielony. — czerwony pompejański. — jasno piaskowy.

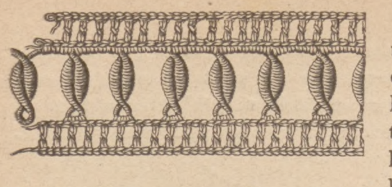
N. 21. Czwarta część deseniu na robotę krzyżową do ryc. 20.



N. 29. Próbka naturalnej wielkości roboty dywanika na drutach, do ryc. 27. Zobaczyć lewą stronę na ryc. 30.



N. 30. Lewa strona roboty na drutach, do dywanika ryc. 27.



N. 31. Wstawka szydełkowa robiona przy sznureczku kręconym.

materyału, odpowiednie do przybrania lub białe batystowe, kanwowe lub t. p. z haftem czy koronką stanowią w obecnej chwili bardzo modne dopełnienie ubrania dla dzieci w różnym wieku. Na ryc. 1 przy sukience z ciemno zielonego voile Virginie, dolna plisowana falbana i kołnierz, dodane są z cienkiego żółtawego materyału, tkanego nakształt kanwy. Brzegi okrągłego gładkiego kołnierza zdobi haft à la Richelieu. Ryc. 6 przedstawia sukieneczkę z granatowej satynki, przybraną haftem maszynowym. Paletocikowy staniczek przewiązany jest szarfą jedwabną, zaś na ryc. 1 brzeg paletocika wycięty jest w zęby a zamiast szarfy dana suta kokarda.



N. 33. Wachlarz spacerowy ozdobiony malowaniem.

N. 34. Wachlarz spacerowy z oprawą z szerokich skrzydełek.



N. 35. Kapelusz słomkowy ubrany koronką i aksamitką.

N. 2. Sukienka bluzkowa, dla dziewczynki lat 6—8.

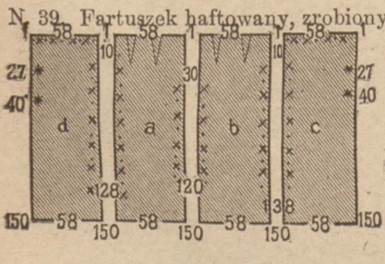
Długi bluzkowy stanik uszyty z czerwonawo bronzowego kaszmiru, a fałdowana spódniczka jest z materyi jedwabnej w drobną jaśniejszą krateczkę. Bluzka uszyta na gładko dopasowanej podszewce ma zwierzchni materyał złożony w kontrafałdy po 4 cent. szerokie, których z przodu jest sześć, a z tyłu tylko cztery. Spódniczka jedwabna podszyta muślinem, liczy 33 cent. długości i złożona jest w fałdy 4 c. szerokie. Na kołnierz marszczony oszyty koronką, potrzeba prostego kawałka 17 c. szerokiego, 135 długiego, który ku przodowi jest trochę zwężony i w około szyi przemarszczony kilkakrotnie. Mankiety odpowiednie do kołnierza.



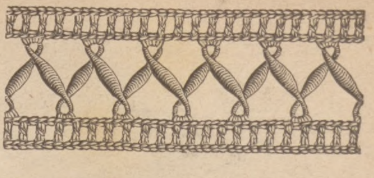
N. 39. Fartuszek haftowany, zrobiony z niebieskiej satynki; ozdobiony szlaczkami haftowanemi i ponsową wypustką.

N. 4. Suknia z draperyą. Patrz r. 43 w N-rze 24.

Spódnica z żółtawego perkalu przykryta wolantem 70 c. szerokim, układanym w potrójne kontrafałdy, u dołu ma falbaneczkę plisowaną 12 cent. szeroką; vêtement z zephyru żółtawego w rzucik z ponsowych goździków ma stojący kołnierz, kamizelkę i mankiety z ponsowego aksamitu, ogarnirowane żółtawą koronką. Krótka przednia draperya układa się podług części oznaczonej literą *a* na ryc. 43 w N-rze 24; podług *b* krają się części boczne, w górze złożone w podwójne kontrafałdy. Upięcie tylne dane z dwóch brycików *c*, sfałdowanych podług krzyżyków i punktów, które w górze podchodzą pod bawet stanika. Kapelusz duży słomkowy, przybrany wstążką atłasową i cieniowanem ponsowem piórem.



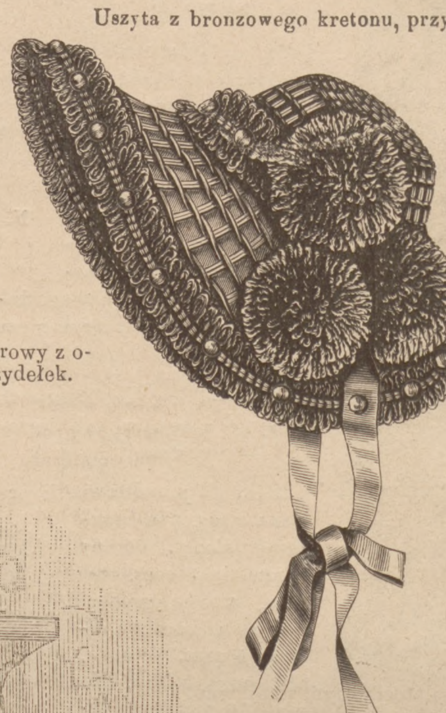
N. 42. Model i miary draperyi do ryc. 8 w N-rze 25.



N. 32. Wstawka szydełkowa robiona ze sznureczkiem kręconym.

N. 5. Suknia z długą fartuszkową tuniką.

Uszyta z bronzowego kretonu, przybrana piękną gipiurową koronką écru, robioną szydełkiem. Na spódnicy pięć marszczonych falbanek po 10 cent. szerokich.



N. 36. Kapelusz ażurowy pleciony z trzcinki.

N. 7 i 33. Suknia zdobna haftami i koronką. Patrz ryc. 12 w N. 24.

Odrobiona z indyjskiego muślinu lub cienkiego batystu, suto przybrana wszywkami haftowanemi i koronką, może stanowić letnie ubranie dla młodej osoby, lub też ubranie negliżowe dla mężatki, odpowiednio do tego czy będzie uszyta ze stanikiem do figury opasanym jedwabną szarfą lub z wolnym paletocikiem. Spódnica nie dochodząca do ziemi, którą oddzielnie daliśmy na r. 12 w N-rze 24, jest u dołu zakończona szeroką koronką, powyżej zdobią ją trzy falbany po 20 cent. szerokie, oszyte koronką 6 cent. szeroką, układane w kontrafałdy po 3 i pół cent. szerokie, przedzielane pasami wszywki. Przód i boczne kliny spódnicy zdobi 7 pasów wszywki 3 i pół cent. szerokiej; dla ułatwienia prasowania spódnica u góry nie wszywa się w pasek lecz ściąga na taśmę. Stanik uszyty, jest odpowiednio do spódnicy i ma plecy krajane o 27 cent. dłużej od boczków, założone w fałdy podchodzące pod spód, przybrane haftem i podpięte sutą kokardą z kolorowej atłasowej wstążki. Przody stanika zapiętego na małe guziczki, są w odstępach 8 c. od środka garnirowane wzdłuż wachlarzowo fałdowaną koronką 13 c. szeroką (potrzeba dwa kawałki koronki po 260 c. długie) przewiązywaną kokardami z wstążki. Rękaw daliśmy na r. 33 zszyty z pasów batystu i wszywki; kapotka zdobna koronką i rozetami z wstążki.

(*D. n*).



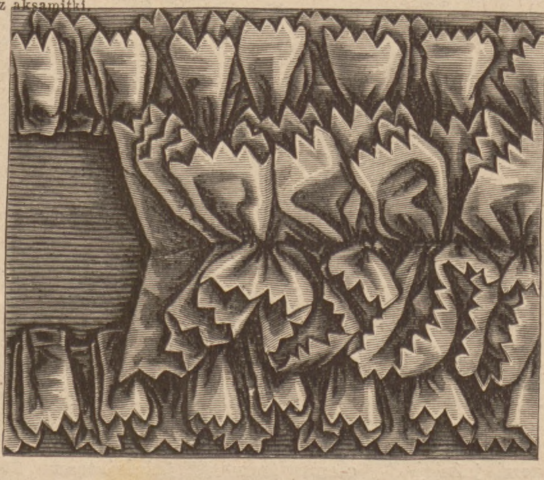
N. 37 i 38. Dwa letnie ubrania.

N. 37. Suknia z koronki bawełnianej, ubrana rozetami z aksamitki.

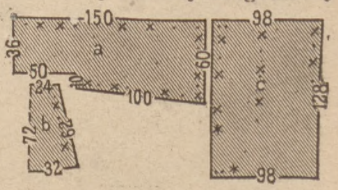
N. 38. Suknia ze stanikiem z kamizelką.



N. 40. Fartuszek marszczony zrobiony z kanwy kongresowej w pasy. Ozdobiony haftem krzyżowym i koronką.



N. 41. Riusza z materyi w ząbki wycinanej. Garnirunek do ryc. 13 i ryc. 8 w N-rze 25.



N. 43. Model i miary draperyi do ryc. 4 w N-rze 25.